

Cena 2 zł 90 gr (29.000)



Nr 3 (31) Jesień 1995

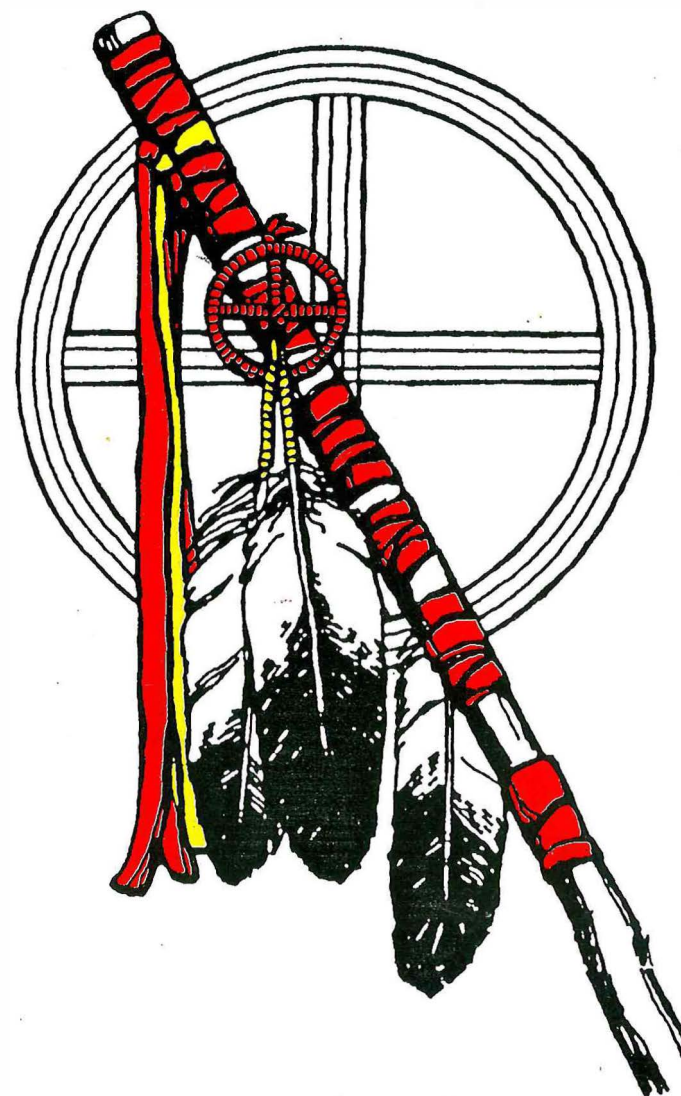
ISSN 1232-9207

Do wszystkich biegaczy Świętego Biegu Japonia 1995

Podczas tego Biegu zaczniecie zdawać sobie sprawę,
że poświęćcie się dla przyszłości.
Za sto lat ludzie będą was podziwiać,
a oczy ich napełnią się łzami,
kiedy wspomną dumną grupę młodych ludzi,
którzy zainicjowali największe przedsięwzięcie na świecie
dla ratowania naszej Matki Ziemi.
Będziecie wielkim dziedzictwem, godnym naśladowania.
Jestem z was dumny.
Dziękuję wam wszystkim.

Dennis Banks
kierownik Świętego Biegu

[Relacja z Biegu w Japonii – str. 20–23]



JAK TO Z NAMI JEST

Minęło już polsko-indiańskie lato, nastał czas wspomnień i refleksji, ale także – pracy.

Tak właśnie pomyślany został ten jesienny numer „Tawacinu”. Ze wspomnień proponujemy dość śmiałą listę „19 wspaniałych” tegorocznego zlotu Przyjaciół Indian, jaki odbył się w Prostyni nad Drawą. Uwaga: miejsce dwudzieste (co wcale nie oznacza: ostatnie) jest jeszcze wolne! Następny zlot już, już...

Z kolei okazją do refleksji będą cudowne impresje literackie Waldemara Kuligowskiego, otwierające ten numer, a także relacja ze Świętego Biegu – Japonia 1995. Słowa Dennisa Banksa, kierownika Biegu, wydały się nam tak prozocze, że zamieściliśmy je na okładce.

Z tematów trudniejszych, dwudziesta rocznica strzelaniny w rezerwacie Siuksów, Pine Ridge, w wyniku której Leonard Peltier dostał dwa dożywocia. Drukujemy niezwykle ważne wystąpienie senatora Adamsa z Senatu USA, które określa najnowszą politykę Białego Domu wobec tubylczych ludów Ameryki.

Dalej oczywiście historia. Tym razem esej Wileya Swarda o wojnach indiańskich schyłku XVIII wieku w przekładzie „wspaniałego” Aleksandra Sudaka, który swoją drogą przygotowuje wszystkim zainteresowanym tematyką historyczną jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny prezent pod choinkę. Takiej książki jeszcze w Polsce nie było...

Szczegóły w następnym numerze.

Redaktor



Ukazuje się: w marcu, czerwcu, wrześniu, i grudniu **Redaguje zespół:** Wiesław Karnabal (redaktor naczelny), Marek Maciołek i Marek Nowocień **Stale współpracują:** Roman Bala, Marek Cichomski, Mirosław Dunin-Sułgostowski, Maciej Lewandowski, i Aleksander Sudak **Adres redakcji:** Dąbrowa, ul. Szkolna 9, 62-069 Pałędzie **Wydawca:** TIPI ul. Łąkowa 3, 64-050 Wielichowo **Druk:** Usługi Poligraficzne „WI-MARK” ul. Czereśniowa 10, 62-800 Kalisz

W tym numerze:

Nasłuchując głosów, wypatrując życia – impresje Waldemara Kuligowskiego

Wojna o Stary Północny Zachód, 1790-1795 – esej historyczny Wileya Swarda o przełomowym okresie w podboju amerykańskiego kontynentu, któremu w popularnych opracowaniach poświęca się najczęściej kilka zdawkowych uwag

Wilma Elizabeth McDaniel – wiersze czirokaskiej poetki

Święty Bieg – Japonia 1995. Konnichiwa Nihon! – wzruszająca relacja naszego redakcyjnego podróżnika, Romana Bali, z trasy Świętego Biegu, jaki w tym roku odbywał się w Japonii

Złotowa Dziewiętnastka – Marek Nowocień przedstawia swoją „listę wspaniałych” tegorocznego spotkania członków i sympatyków Ruchu Przyjaciół Indian w Prostyni

LEONARD PELTIER

20 lat sprawy Leonarda Peltiera – tekst wystąpienia senatora Adamsa w Senacie USA o najbardziej znanym i kontrowersyjnym więźniu indiańskim

Siedzący Byk, Geronimo, Leonard Peltier... – artykuł rocznicowy z montrealskiej „The Gazette” opatrzone komentarzem Marka Maciołka „Leonard Peltier jest mordercą”

Co się stanie z Pierwszymi Narodami? – rozważania francuskiego dziennikarza, Philippe Boveta przed wrześniowym referendum mieszkańców Quebecu

Serwis informacyjny z Ziemi Indian – zestaw wiadomości z Ameryki Północnej, przygotowany przez Marka Cichomskiego

Pocahontas – o najnowszym, animowanym filmie Disneya, przed polską premierą – słowa uznania i krytyki

Ponadto: **listy, książki i zwierzenia Cienia**

Na okładce: atrybuty Świętego Biegu

Podziękowania: Małgorzata Tomczyńska, Jerzy Budnik, Marek Hyjek, Wiesław Koleczek, Marek Plaskowski i Andrzej Wąż.



Waldemar Kuligowski

Nasłuchując głosów, wypatrując życia

W ciemnościach i chłodzie, głęboko w wiosce Otsungo, ogień w centrum długiego domu Klanu Żółtwa wydaje się nadzwyczaj ciepły i gościnny. Tego wieczora klan chce uszanować swego gościa. Jest nim Rakarota, mistrz gawędziarzy.

Pokonał dzisiaj dziesięć mil przychodząc z kierunku, gdzie wschodzi słońce. Stoi przed południowo-wschodnim wejściem, strząsa śnieg z ubrania i woła do ludzi wewnątrz domu.

– Wejść – odpowiada mu matka klanu. Ludzie witają przybysza po

imieniu, podają supkę kukurydzianą i herbatę z sosnowych igieł, ustępując miejsca przy ognisku. Gość napełnia swą fajkę podarowanym tytoniem. Fajka zrobiona jest z tutejszej gliny, a podarowano mu ją, kiedy odwiedził to miejsce pięć zim wcześniej. Lulka fajki przedstawia pogrążoną we śnie twarz, twarz spoglądającą na niego, gdy zapala fajkę. Pociąga kilka razy i rozgląda się wokół. Całe wnętrze jest wypełnione, przyszli również mieszkańcy sąsiednich domów. Rakarota mruga prawym okiem – to dobry znak.

– *Onen tsí nel nakkara* – mówi. – To jest moja opowieść. Chcecie jej posłuchać?

Wielokrotnie praktykowanym gestem, nakazującym skupienie, unosił fajkę.

Wszyscy wspólnie odpowiadają: – Tak! Opowiedz nam swoją historię.

I Rakarota zaczyna najstarszą opowieść.

Kobieta w Krainie Nieba śniła, że wielkie niebiańskie drzewo musi zostać wyrwane z korzeniami. Kobieta ta spodziewała się dziecka i jej sen był wyraźny. Jej mąż, wódz Krainy Nieba, wyrwał to drzewo. Kobieta spojrziała przez dziurę między korzeniami i daleko w dół zobaczyła ziemię – ale nie taką jak dzisiaj, bo wtedy nie było na niej łądów, tylko woda. Kiedy podziwiała ten widok, poślizgnęła się. Chwyciła się najbliższej gałęzi, ale w dółni pozostały jej jedynie nasłona... i runęła w dół.

Gawędziarz przerywa.

– Czy jesteście uważni i słuchacie? – pyta.

– Tak! – odpowiadają wszyscy, a on podejmuje opowieść.

Ptaki i zwierzęta wodne spojrzwały do góry i zobaczyły spadającą kobietę. „Ktoś spada – powiedziały. – Musimy mu pomóc”.

Gęś wleciała wysoko do góry i pochwyciła kobietę między swe skrzydła. Inne ptaki i zwierzęta widząc, że kobieta potrzebuje miejsca, żeby na nim stanąć, zanurkowały chcąc wydobyć grudki ziemi z dna. Wszyskie jednak zawiodły, z wyjątkiem wypróbowanego piźmoszczura. Wielki Żółw użył swych pleców jako miejsca do wysypania ziemi, którą przyniósł piźmoszczur. Kobieta z nieba stanęła na tej nowej, wilgotnej ziemi i upuściła nasłona z niebiańskiego drzewa w odciski swoich stóp. Z tych nasion wyrosły pierwsze rośliny. Potem narodziło się jej dziecko – pierwsze na nowej ziemi – była to dziewczynka, którą chciał poślubić zachodni wiatr...

To niezwykła, dobra opowieść. Staruszeki, które jej słuchają kiwają głowami; ta opowieść mówi o drodze dającej początek, kontynuującej i podkreślającej centralną rolę kobiety. Kobiety są jedynymi opiekunkami życia, kiedy jako Stowarzyszenie Kobiet Sadzących Rośliny pielęgnują ku-

ryrdzę, fasolę i dynię – Trzy Siostry, które podtrzymują ludzkie życie.

Opowieść dobiegła końca, Rakarota rozgląda się wokół. Choć powleki ciążą, nikt nie śpi. A on snuje kolejną historię, i jeszcze jedną, aż do chwili, gdy na pytanie „Chcecie słuchać opowieści?” nikt już nie odpowiada.

II

Pewnego razu, a było to w czasie, kiedy Jesień zmieniła się w zimą, stary Szaman wyruszył ze swoją żoną i synem na łowy. We troje zbudowali wielki wigwam. Zaczął padać śnieg i robiło się coraz zimniej tak, że postanowili w nim pozostać. Żywni się zapasami, ponieważ zwierzęta były liczne i zdobycie mięsa nie stanowiło trudności.

Syn zmarł. Matka natychmiast wyruszyła po pomoc do wioski. Wierzyła bowiem, że jej ojciec, który był głównym kapłanem Wielkiego Stowarzyszenia Leczniczego, potrafi przywrócić mu życie.

Kiedy kobieta powiadomiła swego ojca o śmierci chłopca, jej brat, który był przy tym obecny, od razu zaoferował pomoc. Główny kapłan wezwał trzech pomocniczych szamanów i wszyscy w towarzystwie jego córki udali się do miejsca, gdzie w wigwamie, zawinięte w koc, spoczywało ciało martwego chłopca.

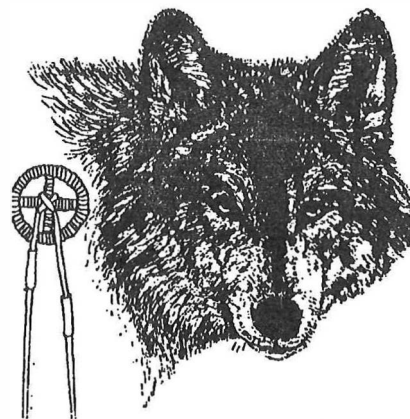
Główny kapłan stanął obok lewego ramienia zmarłego, jeden z pomocników przy prawym, a dwaj pozostali ustawili się przy stopach. Wówczas najmłodszy szaman – stojący przy prawej stopie zmarłego – zaczął śpiewać uzdrawiającą pieśń, którą powtórzył czterokrotnie.

Kiedy skończył, szaman stojący przy lewej stopie zaśpiewał cztery razy pieśń Midewiwin, to samo powtórzył szaman ustawiony obok prawego ramienia zmarłego, po czym główny kapłan zaśpiewał czterokrotnie swoją pieśń. Wtedy pod kocem dostrzeżono jakiś ruch, ręce poczęły zrzucać go z siebie. W końcu chłopiec usiadł, lecz nie mógł mówić. Zagłętym palcem wykonał znak wskazujący na gardło. Chciał wody, którą zaraz mu podano.

Szamani śpiewali, a każdy z nich przygotowywał lekarstwa, mające przywrócić chłopca całkowicie do zdrowia. najmłodszy szaman, stojący przy prawej stopie pacjenta, podał mu cztery szczypty proszku z jaskółki, ten sam lek dał choremu szaman ustawiony przy lewej stopie; główny kapłan stojący przy prawym boku uczynił podobnie, postąpił tak również szaman, stojący przy lewym boku. Chłopiec natychmiast odzyskał zdolność mówienia i powiedział, że kiedy jego ciało znajdowało się w transie, jego duch przebywał w Krainie Ducha i poznawał tajemnice Wielkiego Uzdrawiania.

Chłopiec tak opowiedział o tym, czego doświadczył jego duch podczas transu:

– On, Uzdrawiający Duch, dał nam, Ojibwa, moc Wielkiego Uzdrawiania i nauczył nas jak jej używać. Uzdrawiający Duch uczył nas postępować w prawie. On dał nam życie i powiedział, jak je przedłużać. Nauczył nas tych rzeczy, obdarzył nas podstawami uzdrawiania. Daję wam moc uzdrawiania – jeśli twój umysł jest chory, ta moc zadziała, będziesz zdrow.



III

Pierwszy śnieg pobielił drzewa. Chłopiec, którego przyjaciele przezywali Okwaho, „wilk”, stąpa ostrożnie by nie wywołać jakiegoś hałasu. Śnieg jest jasny, jego wuj

nazywa go „troplącym śniegiem”, ponieważ łatwo odszukać w nim jelenie tropy. Jelenie są stworzeniami mającymi swoje przyzwyczajenia – tak jak ludzie. Okwaho uśmiecha się na myśl o pewnym letnim dniu, kiedy to od wschodu do zachodu słońca siedział w pobliżu ich ścieżki z wiatrem w twarzy. Długo przyglądał się łąni i jej dwóm młodym, jak szły swoim szlakiem na żerowisko, a potem w dół rzeki do wodopoju i z powrotem na żerowisko. Miał swój łuk i strzały, ale nie użył ich. Pamiętał dobrze, co powtarzał mu wuj i ojciec: Nie zabijaj matki, jeśli jeszcze opiekuje się swoimi młodymi.

– Jesteśmy jak nasi bracia, wilki – mówił jego wuj. – Polujemy na jelenie, ale nie zabijamy ich ponad miarę. Jeśli jest ich zbyt wiele, będą cierpieły głód. Jeśli polujemy na nie mądrze, Jeleni Lud będzie silny i jego przyszłe pokolenia pozwolą przeżyć naszym dzieciom.

Okwaho zatrzymuje się. Ścieżka wijąca się wśród wysokich sosen skręca na wschód. Jeśli i on się tam skieruje, wiatr zaniesie jego zapach jeleniowi. Okwaho, mimo że nie widzi zwierzęcia, wie o nim dużo. To mający kilka zim, tłusty kozioł. Może określić jego ciężar i wysokość po śladach, śnieg osypujący się z krawędzi tropu wskazuje, że kozioł nie jest daleko.

Wkrótce go zauważa. Czeka aż ten odwróci się i zacznie podążać swoim szlakiem. Cicho prosi go o przebaczenie, naznacza swoją strzałę, napina cięciwę. Słyszy szuranie jelenich kopyt po śniegu, jego oddech. Pochyla się, wstrzymuje oddech i wypuszcza strzałę o kościanym grocie. Leci prosto w kierunku jelenia i wbija się między jego przednie nogi. Jeleń skacze w górę i spada z pochyłości w zarośla.

Okwaho zjeżdża po stok. Krew na śniegu jest wyraźna i zostawia plamy. Jego strzała przeszła przez płuco i trafiła prosto w serce! Biegnie w dół między pagórkami i znajduje martwego jelenia. Okwaho kłeka i kładzie na nim dłoń. – Bracie – mówi – dziękuję ci za oddanie swego życia mnie i moim ludziom, dzięki czemu przeżyjemy. Wykorzystamy cię dobrze.

Oстрым kościanym ostrzem otwiera Jeleniowi brzuch i wylewa wnętrzności na śnieg.

– Mali leśni bracia – mówi Okwaho – dzielę się tym z wami.

Pamięta opowieść swej babki o Czerwonej Ręce, dobrym myśliwym, który został zabity przez wrogów, ale powrócił do życia jako leśne zwierzę, ponieważ zawsze je szanował i dzielił się z nim zdobytym mięsem. Okwaho wkłada do torby serce i wątrobę; w połowie drogi do domu rozpali małe ognisko i ugotuje je. Rzemień z surowej skóry okręca wokół poroża. Przerzuca go przez plecy, aby zdobyć nie była zbyt dużym obciążeniem. Nie musi robić sanek z kory, ponieważ śnieg nie jest głęboki.

Kiedy Okwaho zauważa palisadę, słońce na zachodnim krańcu nieba ma wielkość dłoni. Palisada nie jest teraz strzeżona. Większość mężczyzn przebywa bowiem w domach, wkrótce święto Środka Zimy. W trakcie innego księżyca poszliby na rakietach śnieżnych, aby polować na łosie, daleko na północ i większość wartowników stanowiliby starcy oraz chłopcy mający, jak Okwaho, mniej niż dwanaście zim. Kiedy mężczyźni są daleko, chłopcy polują w pobliżu wioski. Unika się w ten sposób wyniszczenia zwierząt na swoim terytorium, a mali myśliwi nabierają niezbędnych umiejętności.

Okwaho mocniej ujmuje końce rzemienia. Nie zostawił zdobyć na skraju lasu i nie poprosił matki lub siostry o pomoc, oddając tym samym kozła ich długiemu domowi. Sam dumnie wnieśli go do wioski. Jest to pierwszy jeleni, którego samodzielnie upolował i zgodnie z obyczajem, obdaruje nim wszystkich.

Gdy ciągnie go za sobą rozmyśla o tym, jak przeprowadzić tradycyjne ceremonie związane z upolowaniem pierwszego jelenia. Jego ludzie wierzą, że choroba jest wynikiem zachwiania równowagi. Że zrozumiane rytualne praktyki – zapomnienie na przykład o poproszeniu ducha jelenia o przebaczenie przed zabiciem go – mogą w rezultacie wywołać u myśliwego ból lub ranę. Podobne przykrości wy-

stępują, kiedy człowiek nie realizuje własnych pragnień. Taka choroba, przybierająca postać wielkiego przynębienia, może być leczona jedynie poprzez rozpoznanie, czego człowiek naprawdę poszukiwał, poprzez odnalezienie tego, a także oczyszczenie lekami ziołowymi.

W pobliżu wejścia za palisadę Okwaho spostrzega swego wuję Satekariwadeha, wspartego o stojącą w palisadzie wielką sosnę, symbol siły jego ludu. Satekariwadeh czekał na powrót swojego siostrzeńca. Ujrawszy jelenia, unosi obie ręce z radości. Okwaho wchodzi do wioski i przypomina sobie ostatnie wydarzenia, zaczyna odmawiać cicho modlitwę dziękczynienia dla puszcy.

IV

Wyobraźcie sobie ogromne, leśne terytoria ze skomplikowaną siecią wodną, kranie niemal dziczy. Wyobraźcie sobie słońce, które ogrzewa skórę i pokrywa wodę blaskiem. Wyobraźcie sobie kraj bez granic, w którym nie możecie liczyć na pomoc przyjaciół. Wyobraźcie sobie dźwięki, muskające wasze uszy delikatną pieszczotą. Wyobraźcie sobie wiatr, delikatny lub wściekły, wiejący w niewiadomą stronę i tworzący w wielu miejscach na jeziorach dreszcze, których nie sposób opisać. Wyobraźcie sobie huk odległych wodospadów, wypełniający wasze uszy, który uczy was szacunku dla ciszy. Teraz wyobraźcie sobie pokazującego się wam obcego: ten obcy różni się od innych obcych. To człowiek ubrany na sposób, którego nigdy nie widzieliście i który, zdaje się, nigdy nie widział słońca tak, że jego skóra nie bleda, a oczy nieprzejrzyste. I ten człowiek, nie mówiący waszym językiem, ląduje na waszej ziemi z innymi ludźmi, którzy biorą dla siebie interesujące ich rzeczy, zostawiając rzeczy nie przedstawiające dla nich żadnej wartości. Wyobraźcie sobie, że ten człowiek przychodzi do was, zadaje cios siekierą, ścinając drzewo bez wyrzutów sumienia i bez jakichkolwiek realnych przyczyn.

Ten człowiek nie zna sposobów podziękowania Stwórcy za stworzenie drzewa w tym miejscu; on nie wytłumaczy Stwórcy, w jakim celu ścinał drzewo. Człowiek ów zniszczył drzewo, któremu wy pozwiliście spokojnie wzrastać na waszej ziemi i które pewnego dnia, być może, pomogłoby wam przeżyć. Ten zuchwalec mówi wam, że zostawił znak dla innych ludzi, których wy w ogóle nie rozumiecie i którzy w ogóle nie rozumieją was. To jest szok kulturowy! To wrażenie amerykańskich Indian z pierwszego kontaktu z białym człowiekiem.

V

Urodziłam się w jednym z pierwszych, drewnianych, rządowych domów w Natashquan. Myślę, że na Côte-Nord jestem jednym z pierwszych osiadłych tubylców. I wcale nie jestem z tego dumna. Jestem przekonana, że przyniosło mi to więcej szkody, niż pożytku. Dzisiaj szczerze wierzę, że wołałabym nomadyczne życie moich rodziców i dziadków.

Wychowywałam się, kiedy ludzie wciąż jeszcze robili drewniane paclorki na naszyjnik dla dzieci, mające chronić przed chorobą, kiedy czubki dziecięcych nosów czerniono dla ochrony przed czkawką, kiedy dzieci spały w *atshukutan* (workach do zawijania) i hamakach. Urodziłam się w czasie, gdy młodzi i starzy kierowali się swoimi snami, gdy ludzie uczyli się modlitw i legend, ćwicząc swoją pamięć oraz poznając naszą historię. Kiedy nadchodziła noc, dzieci przestawały się bawić i moi rodzice uczyli mnie, abym nie płakała z byle powodu, gdyż – jak mówili – łączy prowadzą nieszczęście.

Nasze babki rodziły na kłęczkach, czasem samotnie. Łożyisko było spalane dla uszanowania krwi. Potem zwyczajnie powracały do swoich codziennych zajęć. Kiedy ich córka miała pierwszą menstruację, stawała się kobietą i była przygotowana do małżeństwa.

Babki mówiły też, że dziewczęta wcześniej uczono szycia ubrania, czyszczenia skóry, pilnowania swych braci i siostr oraz dbać o dom. Często rąbały one drzewo na opał. Starsze dziewczęta uczone posługiwania się tradycyjną medycyną. One znały i wycozuwały cykl pór roku tak samo dokładnie, jak czas zbioru różnych roślin. Ta sama roślina bowiem mogła być trującą, jak i lekarstwem. Dzisiaj wielu ludzi bierze te i inne zasady za przesadę, ale w tamtym czasie na kobietach spoczywała wielka odpowiedzialność.

Starzy wciąż jeszcze znają tamte tradycje. Przechowują je, ale staje się to coraz trudniejsze. Częściowo już zaginęły, ponieważ jedynie kilku ludzi kontynuuje je i z nich korzysta. Młodzi ignorują to i śmieją się. Napływające zewsząd, zwłaszcza z telewizji, indywidualistyczne i materialne ideały, zaburzają dzieciom i młodzieży wizję przyszłości.

Jednak jest u nas zawsze nadzieja i życie. One zawsze są rodzajem przystosowania tubylców, choćbyśmy stanowili mniejszość. Myślę, że młodzi i starzy powinni wyjść z dotychczasowej izolacji. Kobiety i mężczyźni muszą mówić. Musimy propagować wspólne nam wartości: harmonię z naturą i głęboki sens rodzinny. Dlaczego wartości te nie są wspólne wszystkim mieszkańcom tej planety? Oni gotowi są słuchać. Młodzi ludzie tego wieku mają większą szansę na ujrzenie i odczucie pracy Stwórcy, *T'sche Manitou*. Wtedy radość życia powróci. □

Waldemar Kuligowski

Źródła:

1. J. Bruchac *Otstungo*. „National Geographic”, Vol. 180, No. 4, październik 1991.
2. P. Gill *Les Montagnats, premiers habitants du Saguenay – Lac St. Jean*. Les éditions Mishinikan.
3. W.J. Hoffman *Notes On Ojibwa Folk-Lore*. „The American Anthropologist”, Vol. II, lipiec 1889.
4. G. Mestenepeo *Innushukueu Issishueu*. „Rencontre”, Vol. 14, No. 1, jesień 1992.

Wojna o Stary Północny Zachód 1790–1795

Kiedy patrzymy z perspektywy lat na toczoną w latach 1790–1795 wojnę z Indianami o Stary Północny Zachód, jawi się nam ona jako jeden z punktów zwrotnych w historii naszego narodu*. W jej wyniku dokonał się podbój serca północnoamerykańskiego kontynentu i była chyba decydującym starciem z prawowitymi władcami tej ziemi. Jak na ironię, o wojnie tej wielu Amerykanów wie bardzo mało. Nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że była to straszna wojna, stoczona o środek Ameryki i że ziemia, którą teraz zamieszkujemy jest krajem podbitym. Nawet obowiązuje podręczniki do historii pomijają tę tragiczną opowieść. U większości Amerykanów wciąż pokutuje pogląd, że nasz pochód na zachód nastąpił wówczas, kiedy osadnicy ze wschodniego wybrzeża przebyli Appalache, aby zagospodarować rozległe pustkowie do czego mieli po prostu prawo.

Pogląd ten daleko odbiega od rzeczywistości. Zawiera ona jedną z najtrudniejszych, dręczących prób, jakie przeszły w swej historii Stany Zjednoczone, włącznie z długotrwałą i niezwykle kosztowną wojną, mającą pozbawić rodzimą cywilizację praw do jednych z kluczowych ziem kontynentu.

Wojna ta obfitowała tak w odrażające, jak i wzniosłe wydarzenia, podobnie jak

w całej naszej przeszłości. Okrucieństwu, barbarzyńskiemu torturom, złej woli i chciwości towarzyszyły poświęcenie, bohaterstwo i humanitaryzm. Wszystko to złożyło się nie tylko na niezwykle barwną fascynującą opowieść, lecz stało się też fundamentalnym rozdziałem amerykańskiej historii. Nie wypowiedziana, indiańska wojna lat 1790–1795 wstrząsnęła sercem kontynentu i raz na zawsze przesądziła o ustąpieniu tubylców przed bardziej technicznie zaawansowanym społeczeństwem.

Początkowo stosunki między współzawodniczącymi ze sobą cywilizacjami w Ameryce Północnej układały się na bazie wzajemnej równowagi. W pierwszych latach kolonizacji było tutaj stosunkowo mało białych ludzi i zagrożenie Indian wydawało się minimalne w porównaniu z korzyściami, jakie dawał kontakt z neoeuropejskim społeczeństwem. Mimo szerzenia się obcych chorób, uprzednio nieznanych, rozmyślnego rozpijania i tym podobnych rzeczy, broń palna białych, armaty, narzędzia i szereg wpływających na styl życia wynalazków, od pieców po żaglowce, stały się potencjalnie ważne dla indiańskiej kultury jako wytwory zaawansowanej technologii. Z racji wczesnych kontaktów z tymi ruchliwymi społeczeństwami, szczególnie z Francuzami i Anglikami, plemionom ze wschodnich puszczy często się znakomicie powodziło. Handel futrami stał się gospodarczą bazą stosunków korzystnych dla obu stron. Kosztowne skóry wymieniano na wysoko cenione narzędzia i broń. Stąd

większość indiańskich narodów tolerowała obecność obcych społeczności, uważając, że mogą wiele skorzystać od swych rzekomych dobroczyńców. Ten pogląd jął się zmieniać w miarę jak dochodziło do wewnętrznych sporów między białymi, które z czasem doprowadziły do długoletnich wojen.

Najpierw Francuzi ulegli Anglikom, potem – podczas rewolucji amerykańskiej – koloniści pokonali żołnierzy angielskiego króla. Wojny białych, rzecz jasna, bezpośrednio wpłynęły na losy Indian.

Panujący już wszechwładnie na wschodnim wybrzeżu, po amerykańskiej rewolucji, biali zaczęli coraz bardziej odchodzić od przyjętego dotąd, często wzajemnie korzystnego modelu stosunków z Indianami, opartego na handlu futrami i chciwym okiem spoglądać na najcenniejszą rzecz w ich posiadaniu – na ziemię.

Podczas gdy indiańskie plemiona postrzęgały swe rozległe tereny jako coś, co pozwala im prowadzić prosty, zgodny z otaczającą je przyrodą, tryb życia, to dominiujące nowe społeczeństwo białych potrzebowało ziemi w całkiem innym celu: do budowania nowej cywilizacji. Zamiast zakładać placówki do handlu z Indianami, obywatele Stanów Zjednoczonych uparli się zmienić sam wygląd ziemi. Potężne drzewa ścięto, aby wznieść domy i mosty. Farmy, miasta i fabryki wyrosły tam, gdzie mieszkaly tylko bobry i jelenie. Nowa cywilizacja białych nieubłaganie pochłaniała ziemię, zmieniając tym środowisko naturalne Indian.

Nieuniknionym zatem zjawiskiem, wynikającym z tak zasadniczej różnicy w użytkowaniu ziemi i w obranym stylu życia było decydujące starcie o władzę nad kontynentem. Uważna analiza faktów wykazuje, że to starcie nie wydarzyło się na wielkich przestrzeniach Dalekiego Zachodu, jak to się przyjmuje w popularnej literaturze. Nastąpiło ono pośrodku Ameryki, tam gdzie rozciągają się teraz najspokojniejsze, najżyźniejsze ziemie naszego kraju.

Wbrew powszechnemu mniemaniu o naszych indiańskich wojnach, szeroko znane

walki na zachód od Missisipi, toczone w latach siedemdziesiątych XIX wieku nie miały specjalnego wpływu na bieg wydarzeń. To wynik osiemnastowiecznego starcia między Indianami i Europejczykami przesądził o tym, kto będzie władał kontynentem. Dopiero gdy pewne plemiona czerwonoskórych oddały tereny będące sercem Stanów Zjednoczonych, nasza rodzima cywilizacja stanęła wobec powszechnego napływu białych i ostatecznego ujarzmienia. Wynikło to ze strategicznych możliwości dla powszechnego osadnictwa białych w Ameryce (poprzez zagarnięcie najważniejszych kluczowych ziem), stworzono tym zasadnicze warunki do ogromnego zwiększenia się liczby ludności i dalszego parcia na zachód. Tym samym indiańska cywilizacja nieuchronnie ginęła pod naporem wdzierającej się coraz dalej cywilizacji białych. Dlatego to walka o Stare Północno-Zachodnie Terytorium, obejmujące dzisiejsze Ohio, Indianę, Illinois, Wisconsin i Michigan, zadecydowało o przyszłości kontynentu.

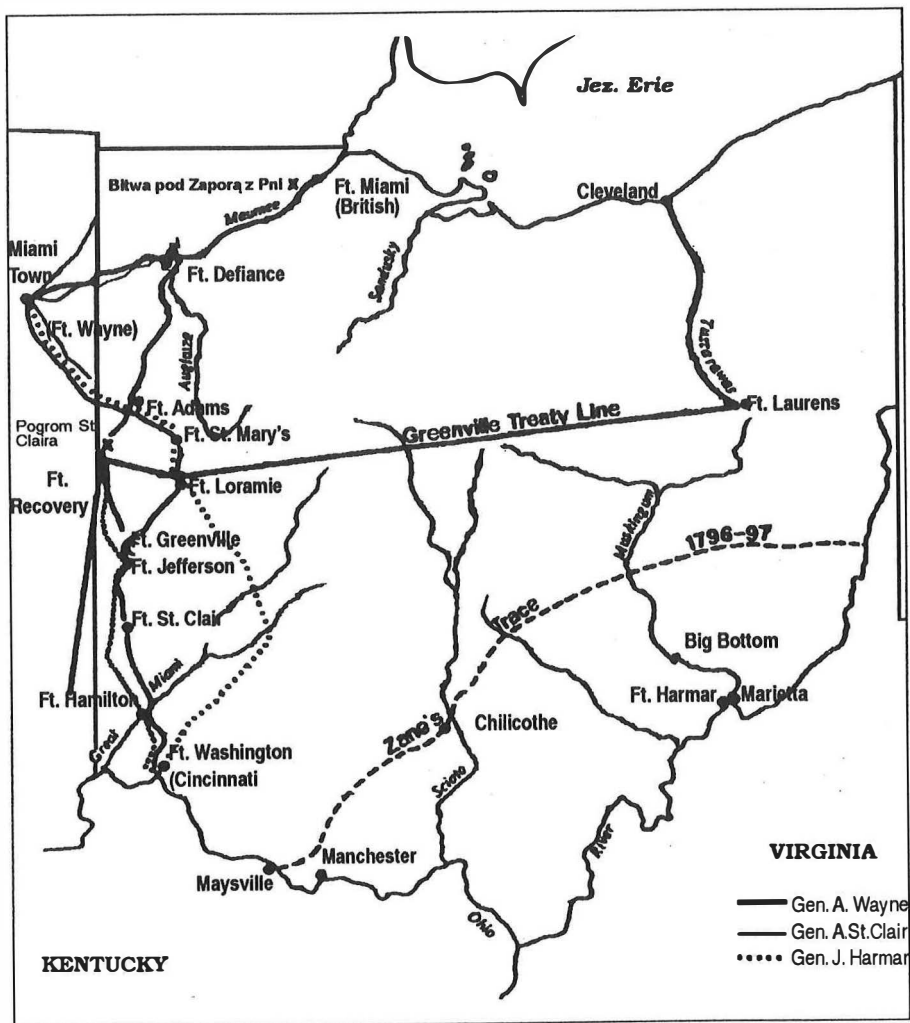
Patrząc wstecz łatwo jest postawić pytanie: Jaką szansę miały kiedykolwiek, stosunkowo prymitywne, ludy indiańskie w starciu z białymi? Była ich przecież tylko garść przeciw bardziej zaawansowanej cywilizacji, mającej zdecydowaną przewagę techniczną.

A jednak, kiedy przyjrzeć się okolicznościom, zaistniałym tuż po zwycięstwie rewolucji amerykańskiej, to dochodzimy do wniosku, że jeżeli istniała jakaś szansa dla Indian zapobieżenia gromadzącemu im ujarzmieniu, to tylko w owym czasie.

W oparciu o wciąż potężnych w centrum Ameryki Anglików, którzy zasadniczo pozostali sprzymierzeńcami Indian i swoją wolę oporu, tubylcy mogli w 1790 roku przeciwstawić się naporowi białych osadników i zmienić bieg historii.

Anglicy jako główni partnerzy handlowi indiańskich plemion z rozległego Północno-Zachodniego Terytorium wciąż hojnie rozdzielali dary w postaci amunicji i innych towarów. Pomimo porażki na wschodnim wybrzeżu, podczas rewolucji, siły króle-

* Esei „Wojna o Stary Północny Zachód, 1790–1795” opublikowany został zimą 1992 roku na łamach kwartalnika „Northwest Ohio Quarterly”. Volume 64, No. 1. Drukujemy go w „Tawacinie” za uprzejmą zgodą Wydawnictwa.



Wojny indiańskie z lat 1790–1795

Wg George Knepper, *Ohio and Its People* (1989)

wskie na Starym Północnym Zachodzie wciąż były niepokonane. W zasadzie układ kończący amerykańską wojnę o niepodległość zawarto dla wygody polityków. Brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, zmęczone wojną i wręcz chore od ponoszonych kosztów, zgodziło się na warunki Stanów Zjednoczonych, z których jeden dotyczył panowania nad jedną czwartą ponad 4 tysięcy km² Starego Północnego

Zachodu, mimo ciągłej dominacji Anglików na tym obszarze.

Postrzegając działalność ministerstwa w Londynie jako niedopuszczalną gafę w oddaniu Amerykanom tego, do czego nie mieli prawa, angielska administracja w Ameryce Północnej szybko obrała politykę zimnej wojny i za milczącą zgodą swego MSW nie zgodziła się na oddanie wojskowych placówek na Terytorium.

Ponieważ klucz do fizycznej kontroli nad bardzo dochodowym handlem futrami leżał w utrzymaniu tych placówek, więc by je utrzymać, należało dbać o dobre stosunki – z Indianami. Zgodnie z tym, wielu angielskich urzędników opowiadało się za potajemną pomocą dla czerwonoskórych, oplerających się wkraczającym na odstąpione terytorium Amerykanom. Poprzez dostarczanie amunicji, doradców wojskowych i różnorakiego sprzętu potrzebnego Indianom do stawiania czynnego oporu, spodziewano się, że wyprą oni stąd amerykańskich osadników. Jeszcze większe w tym czasie znaczenie miała dla Anglików tak zwana strategia strefy buforowej, mocą której obecność Indian na Starym Północnym Zachodzie stworzyłaby zabezpieczenie dla Kanady. Dlatego to różnym miejscowym plemionom opowiadano, że gdyby armia amerykańska wtargnęła na te sporne tereny, Anglicy pospieszą z odpowiednią pomocą.

Amerykanie natomiast znaleźli się nagle w bardzo trudnej sytuacji. Po otrzymaniu, niemal w prezencie, władzy nad tak ogromnym obszarem, przekonali się wkrótce, że Anglicy nadal będą im stawiać opór rękami swych indiańskich sojuszników. Poza tym młode Stany Zjednoczone były bardzo słabym narodem, przywiązany kurczowo do wschodniego wybrzeża, zatem rząd rozpaczliwie potrzebował tych nowych zachodnich kraiń nie tylko dla swych obywateli, ale i do spłacenia długów zaćgniętych w czasie wojny o niepodległość. Indiańskie plemiona Starego Północnego Zachodu w połączeniu ze swymi angielskimi sojusznikami stanowiły więc sobą niezwykle groźnego przeciwnika.

Świadomi potrzeby skupienia wszystkich swych, uzyskanych poprzez rewolucję, atutów przed mającą nieuchronnie nastąpić konfrontacją z wrogimi Indianami, amerykańscy politycy postanowili najpierw skłócić między sobą plemiona, usuwając ich jak najwięcej spod wpływu Anglików. Zawarto więc w tym celu kilka szeroko rozgłoszonych układów, podczas których, jak

mówili Amerykanie, czerwonoskórzy mogli odnowić przyjaźń i podtrzymać łańcuch sojuszu z nowymi opiekunami.

Jednakże wiele plemion, które stały się na tych układach, od razu domyśliło się rzeczywistych intencji Amerykanów. Prócz rozszczeń do panowania nad nowym terytorium, komisarze tych ostatnich oświadczyli, że Anglicy zostali pokonani i zostawili Indian samych, na łasce Stanów Zjednoczonych. Podkreślali z naciskiem, że ceną pokoju jest zerwanie się przez Indian z nimi, a do jakiego stopnia – zadecydują sami Amerykanie.

Zamiast układu przynoszącego pokonanie trudności i wzajemne porozumienia, szybko okazało się, że Amerykanie chcieli tylko narzucić warunki kapitulacji. Ponieważ celowo zapraszali do każdego rokowań jedynie po kilka plemion, poczynając od najbardziej wysuniętych i podzielonych Irokezów, więc wielu indiańskich negocjatorów można było postawić w niekorzystnym położeniu i zmusić do podpisywania dokumentów.

Choć często bardziej wrogle zachodnie narody w ogóle unikały wchodzenia w układy z Amerykanami, to w ciągu dwóch lat podpisała je wystarczająca grupa przedstawicieli tych plemion, by biali rościli sobie pretensje do rozległych ziem indiańskich.

Oplerając się na tych, w dużej mierze, oszukańczych traktatach, zawartych z garścią tylko narodów indiańskich, Stany Zjednoczone zaczęły sprzedawać ziemię Starego Północnego Zachodu osadnikom. Biali emigranci szeroką falą napłynęli na nowe tereny i na nieuchronnie zapowiadające się starcia nie trzeba było długo czekać.

Jak dotąd, amerykańskie osadnictwo na zachodzie ograniczało się głównie do terenów Kentucky. Stanowiące wówczas część Wspólnoty Wirginii pociągalo emigrantów od pierwszych dni rewolucji. Używając rzeki Ohio jako najłatwiejszej drogi transportu, tysiące osadników zważyło się tam w latach siedemdziesiątych, zakładając kwitnące osiedla, takie jak Lexington i Louisville. Ponieważ ziemię te były przede wszystkim terenami łowieckimi Indian,

opór ich osłabił w dużej mierze po przegranej bitwie koło Point Pleasant w 1774 roku.

Większość wrogich plemion zamieszkiwała bezkresne mroczne puszcze po drugiej stronie Ohio. Rzeka ta stała się rzeczywistą granicą, którą tylko nleliczni osadnicy ośmielali się przekroczyć. Wyprawy Szawanezów, Majamów i Delawarów po dawnemu nękały osiedla Kentucky, niszcząc plony, paląc budynki i zabijając osadników przy każdej okazji.

Po wyprawie milicji z Kentucky na włoski Indian poza Ohio w 1786 roku, działania wojenne nasiliły się. Celem tego najazdu stała się, przez nieporozumienie, główna wieś najbardziej pokojowego odłamu narodu Szawanezów.

Wieś ta uczestniczyła w ostatnim układzie z Amerykanami, a sędziwy naczelny wódz Moluntha (albo Molunthy) był jednym z najgorętszych orędowników pokoju z Amerykanami. Toteż, gdy włoska Mackachack (dzisiejsze West Liberty w Ohio) ujrzała atakujących białych, jej zaskoczeni mieszkańcy uciekli bądź oddali się w niewolę. Jednak zaślepieni żądzą zemsty pewni Kentuckańczycy zamordowali kilka bezbronnych wojowników. Stary Moluntha, nie znając przyczyny najazdu, pospieszył z wielką fajką pokoju naprzeciw zbliżających się białych. Oszołomiony panującym zamieszaniem mógł tylko uścisnąć ręce otaczającym go żołnierzom i wskazać amerykańską flagę powiewającą nad jego wigwamem, flagę, którą otrzymał podczas zawierania ostatniego układu.

Poprzez tłum żołnierzy przedarł się mężczyzna znany ze swych nieprześląnych popędliwych czynów, kapitan Hugh McGarry. Szukający zemsty za klęskę poniesioną z rąk Indian nad Sina Lizawką, McGarry szarpnął Molunthę za ramię i rzucił gniewnie: „Byłeś wtedy nad Sina Lizawką?”¹

1. Bitwa nad Sina Lizawką (Blue Licks) przy Lizej Rzece (Licking River) w Kentucky odbyła się 19 sierpnia 1782 roku. Była jedną z najcięższych klęsk, jakie ponieśli Amerykanie w wojnie o niepodległość. Na stu osiemdziesięciu białych zginęło sześćdziesięciu siedmiu, zaś siedmiu trafiło do niewoli, w której zamęczono czterech spośród nich. Indianie prowadzeni przez Szymona Girty i Williama Caldwell'a stracili tylko siedmiu

Wódz, najwidoczniej nie rozumiejąc dobru angielskiego, skinął po prostu życzyliwie głową, chcąc uspokoić podnieconego białego. Ten w jednej chwili wyszarpnął zza pasa tomahawk i płaską jego stroną powalił Molunthę na ziemię. Potem, obróciwszy ostrze, zatopił je w skroni wodza. Choć później sąd uznał go winnym zamordowania bezbronnego jeńca, to jedyną dlań karą było odebranie mu stopnia oficerskiego na jeden rok.

Zamordowanie Molunthy wzburzyło Indian całego Starego Północnego Zachodu i wzmogło najazdy na osadników Kentucky. W roku 1789 sprawy wymknęły się tak dalece spod kontroli, iż rząd federalny musiał w końcu przejść do działań. Nakazem chwili stało się ułatwienie powszechnego napływu białych osadników na ziemię Indian, które Stany Zjednoczone uważały za zdobycze wojny o niepodległość.

Znamennym w tych przejściowych czasach tandetnej, krótkowzrocznej polityki i wszechpotężnej korupcji było przyznawanie kontraktów ziemskich na zasiedlanie kraju Indian po drugiej stronie rzeki Ohio. Po uchwaleniu przez Kongres w 1785 i 1787 roku dwóch kluczowych wobec Starego Północnego Zachodu zarządzeń, mających na celu zachęcanie do osiedlania się na nowych ziemiach poprzez sprzedawanie ich prywatnemu kapitałowi, spodziewano się, że poclągnięcie to poważnie zasilą będący w ciężkiej sytuacji skarby państwa.

Jeszcze kiedy sprzedano szereg działów różnym grupom obywateli, wśród nich członkom Kongresu i wpływowym politykom, zysk z jednego akra (0,4 ha) wynosił zaledwie 9 centów. O jedną trzecią tej sumy mniej płacono za bagienne nieużytki, zaś ponad 80 tysięcy hektarów rozdano oficerom za zasługi wojenne. Ponadto jedna z czołowych firm handlujących ziemią nie wywiązała się z umowy, zmuszając rząd do nadania ziemi oszukanym imi-

ludzi, w tym jednego Kanadyjczyka. Głównym winowajcą klęski był Hugh McGarry (McGarry), który wprowadził swych członków w zasadzkę, zastawioną przez dwustu wojowników oraz trzydziestu angielskich i francuskich Kanadyjczyków. (Przypis tłumacza).

grantom francuskim z Gallipolis, którzy zapłacili rozwiązanej firmie, zanim przybyli do nowego kraju. Jednym słowem, wyprzedaż ziemi, miała stać się dla rządu żyłą złota, omal nie doprowadziła do jego ruiny.

Wraz z nadejściem osadników, armia musiała włączyć w swe ręce sprawę uspokojenia terytorium, co oczywiście było zadaniem bardzo kosztownym i trudnym z czysto wojskowego punktu widzenia.

Tym samym Indianie, nieświadomi na ogół, do jakiego stopnia sprzedano i podzielono ich ziemię, nagle zetknęli się z najazdem kolumny wojsk federalnych jesienią 1790. Zamierzając poskromić indiański „bandytyzm”, skierowany przeciw nlelicznym osadnikom, którzy zapuścili się w głąb puszczy nad Ohio, żołnierze ruszyli pod wodzą generała brygady Josiaha Harmara.

Ponieważ nie mieli do dyspozycji wystarczająco dużo regularnego wojska, trzon oddziału tworzyła milicja z Kentucky. Kiedy ludzie Harmara dotarli do celu swej wyprawy – Wsi Majamów (Miami Town), wznoszącej się na miejscu dzisiejszego Fort Wayne w Indianie, zdawało się, że nie napotkają żadnego oporu.

Indianie opuścili swą wieś, kiedy straż przednia wojska stanęła pod nią 15 października 1790 roku. Pośród wigwamów i chat z okraglaków, z których jeszcze unosił się dym, wszystko wałało się w największym nleładzie. Sądząc, że wróg uległ zupełnej demoralizacji i znajduje się w pełnym odwrocie, generał Harmar wysłał 19 października stu osiemdziesięciu żołnierzy na rekonesans. Oddział ten pod pułkownikiem Johnem Hardinem, przebył blisko dwanaście mil nim trafił w śmiertelną pułapkę.

Zdolny wódz Majamów, Mały Żółw, polecił rozrzuć wokół ogniska na skraju łąki różne błyskotki i sprzęt indiański, i na czele stu pięćdziesięciu wojowników zaczął się w lesie, zaledwie kilka metrów dalej. Chciwi łupu milicjanci Hardina zebrali się od razu przy ogniu, każdy chciał dostać swoją część.

W tej chwili potrzask zapadł. Niespodziewana salwa z muszkietów powaliła stojących najbliższych żołnierzy. Kiedy znajdujący się w tyle popędzili na lewo, by ująć przed ogniem dochodzącym z prawej strony, powitała ich następna salwa ukrytych

tam Indian. Zapanowało powszechne zamieszanie. Większość milicjantów porzuciła broń i nie oddając strzału umknęła z pola walki. Niewielki oddział regularnego wojska próbował w pośpiechu sformować na łące linię bojową, lecz idąca z tyłu kolumna milicji nie ruszyła mu na pomoc. Ogarnięta paniką rzuciła się do ucieczki. Tylko złożona z czterdziestu ludzi cienka linia regularnego wojska dotrzymywała jeszcze placu. Mały Żółw dostrzegł jednak jak skurczyły się szeregi wroga i nakazał atak. W kilka minut było po wszystkim. Jedynie jednostki uszły z życiem, aby zanieść ponurą wieść o czymś, co było niemal całkowitym zniszczeniem, a do czego doszło – zdaniem niedobitków – przez tchórzostwo milicji.

Generał Harmar, po zniszczeniu wszystkich siedzib indiańskich w okolicy, wydał 22 października rozkaz do odwrotu. Jednak w drodze powrotnej ku Cincinnati zgodził się wysłać raz jeszcze silny oddział do Wsi Majamów, mając nadzieję zaskoczyć powracających tam Indian. Oddział ten w sile blisko czterystu ludzi, z czego dwie trzecie stanowili milicjanci, prowadził major John Wyllys. Postanowił on podzielić swych żołnierzy i z trzech stron zaatakować wieś o brzasku.

Kiedy główny oddział z kawalerią z Kentucky na czele przechodził płytką Maumee, przeciwny brzeg rzeki stanął w płomieniach. Konie i jeźdźcy zaczęli padać dziesiątkami. Zupełnie nie spodziewający się zasadzki Wyllys musiał zacząć od rezerwy pod majorem McMillanem, które zaczęły przechodzić bród z prawej strony. Ponieważ o wiele liczniejsi Amerykanie oskrzydliłi teraz Indian, ci nie stawili większego oporu brnącym przez Maumee plechurom McMillana. Wkrótce rozbiegli się w poplochu i coraz bardziej słyszeć było nawoływania żołnierzy, ściągających wojowników w kierunku bagien, leżących od północy za wsią. Wyllys na czele sześćdziesięciu zawodowych żołnierzy gotował się teraz do pójścia za oddalającym się McMillanem.

Nagle potężny okrzyk targnął powie-trzem. Z zarośli na skraju Wsi Majamów wyłonił się najliczniejszy oddział Indian, z jakim do tej pory zetknęli się uczestnicy

wyprawy. Przebiegły Mały Żółw wciągnął Amerykanów w pułapkę, każąc im ścigać harcowników, których ustawił na brzegu rzeki, a teraz miał osłabionego, odciętego od towarzyszy wroga na wprost siebie, na otwartym polu kukurydzianym.

Wyllys zaledwie ustawił swych ludzi w szeregu na oczach ruszających biegiem wojowników, kiedy oficer stojący z lewa podał wiadomość, że inny oddział Indian atakuje z tej strony. Po oddaniu jedynej salwy w stronę wroga, nie było czasu na ponowne nabicie broni. Za chwilę rozgorzała walka wręcz. Bagnety żołnierzy Wyllysa skrzyżowały się z tomahawkami i włóczniami czerwonoskórych. Po kilku krwawych minutach bój ustał. Tylko dziesięciu białych uszło z życiem w kłębach prochowego dymu. Chociaż plechurzy McMillana wrócili niebawem, Indianie zniknęli w zaroślach. Po zebraniu rozproszonych żołnierzy, major nakazał pospieszny odwrót, zostawiając nawet kilku rannych, choć ścigało go zaledwie kilkunastu Indian.

Jeszcze większej klęski zdemoralizowała armia Harmara uniknęła dosłownie w ostatniej chwili. Siedmiuset palących się do walki wojowników postanowiło zaatakować białych rankiem 23 października.

Jednak wieczorem, jakiś tajemniczy cień przysłonił tarczę księżycą. Było to zaćmienie, które skłoniło przesądnych Indian do zaniechania swych planów. Wiele z nich poczytało to zjawisko za zły znak. Zrzadzeniem losu wojsko Harmara nie spotkała całkowita klęska.

Chociaż generał głosił później o odniesionym zwycięstwie, podkreślając że zniszczył główną wieś wrogich Indian, dla wszystkich było jasne, że wyprawa przyniosła dotkliwą klęskę amerykańskiemu orężowi.

W następnym roku nowy dowódca, Arthur St. Clair, będący również gubernatorem nowego terytorium, zarządził jeszcze większą wyprawę przeciw wrogim plemionom. Z winy klepskiej organizacji, braku odpowiedniego sprzętu i żołnierzy, wyruszyła ona dopiero w pierwszych dniach września. W sile dwóch tysięcy ludzi brnęła odciekała na północ, cierpiąc od soty i niedożywienia. Wieczorem, 2 listopada rozbiła

się obozem nad brzegami Wabash, w obecnym południowo-zachodnim Ohio.

Ranek 4 listopada 1791 roku odsłonił jasne czyste niebo, zapowiadające pogodny choć zimny dzień. Po odegraniu pobudki w wysuniętym obozie amerykańskiej milicji, któryś ze strażników wszedł do pobliskiego lasu i ujrzał mnóstwo Indian wyłaniających się spośród drzew. W okamgnieniu obóz milicji zalała fala wojowników i dwustu siedemdziesięciu Kentuckańczyków w dzielnym popłochu rzuciło się do ucieczki.

Po drugiej stronie Wabash, w głównym obozie St. Claira, żołnierze dobiegli głośno, osobliwy odgłos, brzmiały jak wycie wilków. Nagle usładowano sobie, że był to okrzyk wojenny Indian wydany z setek gardeł. Natychmiast zagrały bębny, oficerowie zajęli jeszcze śniadaniem wybiegali z namiotów postawić w szyku żołnierzy.

Podczas jednego z najbardziej nieprawdopodobnych ataków zapisanych w kronikach armii Stanów Zjednoczonych, błyskotliwy Mały Żółw otoczył obóz Amerykanów i nakazał swemu tysiącowi wojowników uderzyć ze wszystkich stron.

Całkowicie zaskoczeni, zdeorientowani żołnierze walczyli z rzadka i nieskutecznie. Stojąc w zwartych szeregach na otwartej przestrzeni nie mogli nic zrobić wojownikom strzelającym do nich spoza drzew. Na początku walki padło tak wielu ludzi, że wojsku groziła zupełna zagłada. Panika wkrótce ogarnęła milicję i wielu jej członków popędziło w głąb obozu szukać schronienia wśród znajdujących się tam niekomatantów.

Kiedy zawiadło kilka prób przeprowadzenia kontrataku, sytuacja wojska stała się rozpaczliwa. Osiem armat St. Claira, które miały przerazić Indian, nie odegrało żadnej roli. Ich pociski przeważnie ścinały gałęzie drzew, kiedy roztrzęsieni kanonierzy nie obniżyli wystarczająco luf.

W ciągu trzech godzin od początku bitwy, linia obronna białych skurczyła się do samego północno-wschodniego krańca obozu. Nagły zryw Indian złamał opór ostatnich baterii i teraz ruszyli niewstrzymaną falą, tocząc się poprzez żołnierskie namioty.

Cała armia rozsypała się niczym tłum na jarmarku, jak zapisał pewien ocalały uczestnik bitwy. Żołnierze byli tak oszoło-

mieni, tak przerażeni, że tworzyli sobą bezładną, drepzącą w miejscu ciżbę, wystawioną na ogień nieprzyjaciół. Zarówno oficerowie, jak szeregowcy nie byli w stanie nic uczynić – pisał naoczny świadek – dlatego ciała tak wielu usiało ziemię ciężkim, grubym dywanem.

Na koniec, w rozpacz i furii, garstka ludzi w ataku na bagnety przedarła się przez otaczający ich pierścień wroga. W ślad za nimi, jak spłoszone stado, rzuciły się niedobitki wojska St. Claira. Porażeni strachem żołnierze porzucali muszkiety i tornistry, były tylko ujęć jak najszybciej. O godzinie dziewiątej trzydzieści było już po wszystkim. Z około tysiąca czterystu białych, w tym nie biorących udziału w walce, wyszło zaledwie pięćset osób. Trzy czwarte Drugiego Pułku Plechoty Stanów Zjednoczonych została na zawsze nad brzegiem Wabash, tak jak ponad sześćset trzydziestu uczestników wyprawy, z wieloma markietankami włącznie, które zabiło pośród namiotów.

Była to jedna z najcięższych klęsk, jakie dotknęły wojsko amerykańskie. Po dziś dzień uznawana jest za największą, poniesioną z rąk Indian, usuwającą w cień tę, poniesioną nad Little Big Horn w 1876.

Niespotykane dotąd perspektywy roztoczyły się przed sprzynierzonymi plemionami Starego Północnego Zachodu. Jednak ciężko wywalczone zwycięstwa zaprzepaściło polityczne niezdecydowanie. Wiele przywódców Indianińskich było zdania, że teraz można ułożyć się z Amerykanami na dogodnych warunkach. Inni rozważali nad zapewnieniem sobie bardziej zdecydowanej pomocy wojskowej ze strony Anglików. Najbardziej nieprzejednani upierali się przy dalszej wojnie z osłabionym przeciwnikiem. Tymczasem, gdy plemiona spierały się między sobą, jaką należy obrać politykę, rząd Stanów Zjednoczonych powiększał regularną armię i gotował się do ostatecznej wojny o Stary Północny Zachód.

Chcąc zyskać czas na odbudowę i wyszkolenie wojska, wysłano wielu pokojowych negocjatorów, pozornie w celu rozpatrzenia terytorialnych roszczeń Indian. Kluczową rolę odegrali tutaj Irokezi jako pośrednicy w rozmowach z takimi wrogimi plemionami jak Szawanezi i Ma-

jamowie. Podczas gdy Amerykanie ustami Sześciu Narodów deklarowali chęć zawarcia pokoju, to ich rzeczywistym zamiarem było powstrzymanie Irokezów od sojuszu z wrogami i opóźnienie zbrojnego wystąpienia tych ostatnich do chwili, gdy armia Stanów Zjednoczonych osłabnie stan gotowości bojowej.

Na koniec, po dwóch latach przygotowań i ćwiczeń wojsko ruszyło w pole z nowym głównodowodzącym, Anthonym Wayne na czele. Odrzucono niepotrzebne już pozory dalszych rokowań z Indianami i generał wymaszerował z Greenville pod koniec lipca 1794 roku, kierując się na tereny dzisiejszego północno-zachodniego Ohio.

Po zajęciu indiańskich wiosek u zbiegu Maumee i Auglaize, tam gdzie stoi teraz Defiance w Ohio, Wayne pchnął swą kolumnę na północ w ślad za wycofującymi się plemionami. 20 sierpnia 1794 roku stanął w okolicy wodospadu Maumee, na zachód od dzisiejszego Toledo. Tutaj indiańska armia zebrała się wokół angielskiego fortu Miamis, wierząc że Brytyjczycy pomogą im obronić te ziemie.

Choć wojownicy przygotowali zasadzkę w terenie usłanym powalonymi drzewami, znanym jako Zapora z Pni, czekali w niej trzy dni nie wiedząc, kiedy nadejdzie Wayne. Nim jego kolumny stanęły tam 20 sierpnia, wielu z nich powróciło w sąsiedztwo angielskiego fortu, myśląc że Amerykanie się wycofali. Poza tym plemiona walczyły pod innym kierownictwem, gdyż Mały Żółw został odsunięty na dalszy plan wskutek wtrącania się Anglików i większej liczby zgromadzonych plemion.

Wszystko to sprawiło, że Indianie nie zastawili tak skutecznej pułapki jak uprzednio. Podczas marznącej mżawki, połowa z osmiuset zgromadzonych wojowników próbowała zaatakować główne siły Wayne'a, pochopnie opuszczając swą kryjówkę w pościgu za harcownikami, którzy po wymianie strzałów umknęli z placu boju. Druga część Indian trzymała się poza miejscem zasadzki. W rezultacie szybki, zdecydowany kontratak centrum wojsk Wayne'a złamał obydwą ugrupowania wojowników i zmusił niedobitki do ucieczki pod opiekunkę skrzydła angielskiego fortu.

Przełomowa akcja bitwy nie trwała dłużej niż kilka minut, ale przesądziła o militarniej klęsce plemion Starego Północnego Zachodu. Anglicy nie chcieli za nie walczyć, nie byli pewne swego politycznego bytu, boczając się na siebie i wydawały się niezdolne do wspólnego działania. Mimo że Wayne zagroził atakiem na fort angielski za przygarnięcie czerwonoskórego wroga, Amerykanie wycofali się 23 sierpnia do fortu Defiance.

Po zwycięstwie Amerykanów i utracie swych wiosek, Indianie musieli korzystać z wydawanych im przez Anglików przydziałów, kiedy nastała sroga zima. W dodatku wkrótce nadeszły nowe instrukcje z Londynu, nakazujące czerwonym kurtkom opuścić zajmowane forty i przekazać je Amerykanom. Pokonani militarnie, skłóceni w przyszłość, bez widoków na pomoc angielską, czerwoskórzy zostali zmuszeni prosić o pokój wiosną 1795 roku.

Zawarty w Greenville układ pozbawił pokonane plemiona olbrzymiego obszaru ziemi. Wraz z napływem kolejnych osadników stało się oczywiste, że złamanie Indianie nie oprą się już najazdowi obcego wroga im społeczeństwa.

W miarę upływu czasu postępowała demoralizacja Indian. Alkohol, czarna ospa i inne choroby do tego stopnia przerzedziły tak potężnych niegdyś Majamów, że liczba ich na początku XX wieku wyniosła ledwie pięćset osób.

Nienasycony głód ziemi wiódł zwycięzców do zmuszania różnych plemion, by mocą kolejnych układów zrzekały się nowych terenów. Na koniec, w latach trzydziestych XIX wieku wyniszczone i poniżone resztki tubylczych narodów siłą przeniesiono na zachód od Missisipi, na mocy tzw. uchwały o usuwaniu Indian (Indian Removal Act). Nie chcąc dłużej znosić sąsiedztwa czerwonoskórych w sercu kontynentu, Amerykanie doprowadzili do tragicznego finału. Całe plemiona przewieziono barkami do Kansas, nie zaopatrzywszy ich odpowiednio w żywność, odzież i sprzęt. Tak potraktowano też Majamów, z których jedna trzecia zmarła

w ciągu pierwszych dziesięciu lat od chwili zesłania.

Tragedia dopełniła się poprzez dalsze wypieranie Indian do Oklahoma, w miarę jak osadnicy szli dalej na zachód. Następnie, ustawą Kongresu z 1887 roku pozbawiono czerwonoskórych ich plemiennych ziem, dzieląc je na poszczególne działki i nadając jednostkom lub rodzinom. Tą okrutną drogą, blisko trzysta siedemdziesiąt tysięcy km² indiańskiej ziemi uznano za nadwyżkę mającą służyć będącym w potrzebie obywatelom i przekazano w ręce białych.

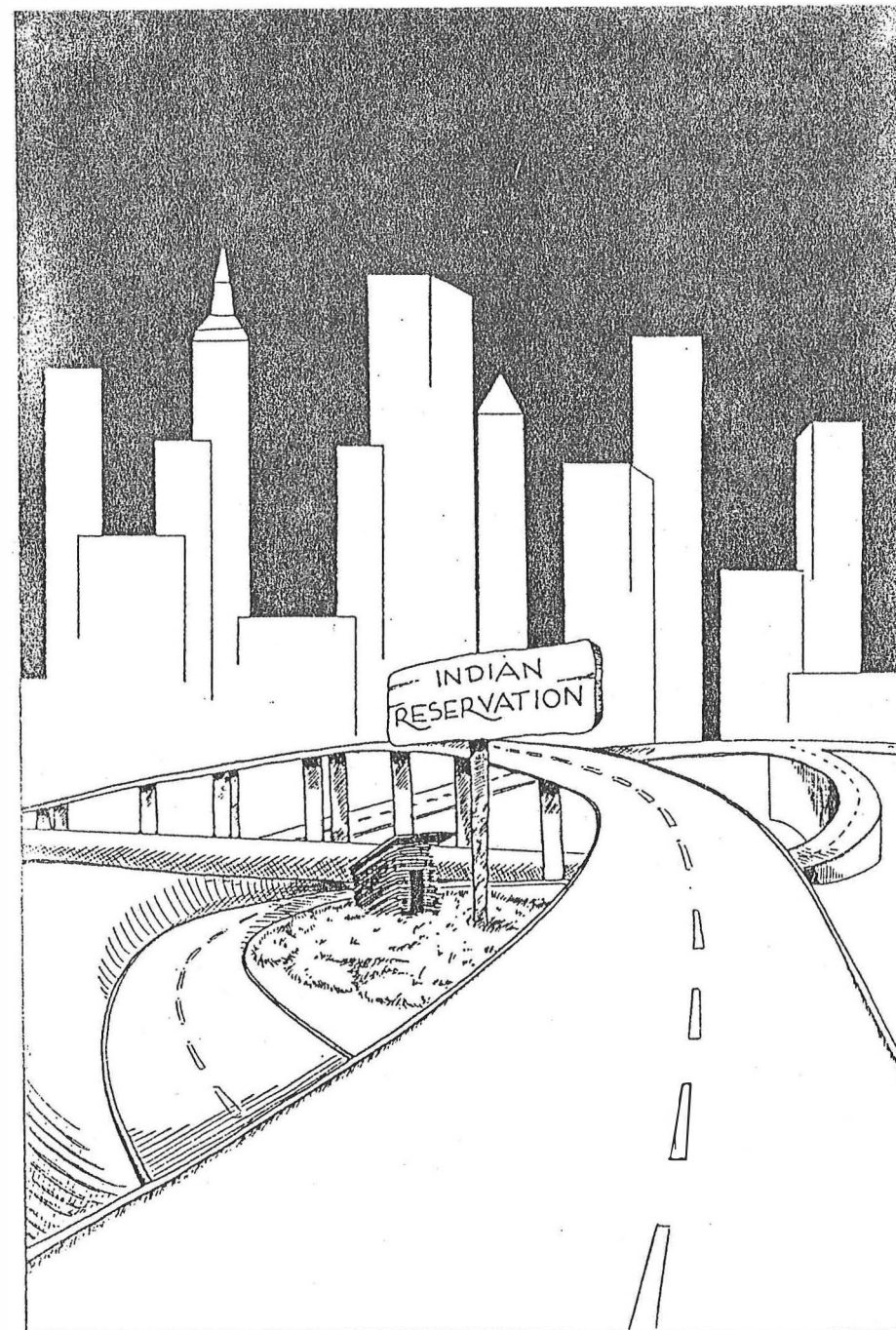
Posunięcie to oznaczało dla Indian koniec ich życia. Ekspansjonści lat czterdziestych ubiegłego wieku nazywali to Manifestem Przeznaczenia. Inni mówili o budowie imperium, ale i jedni i drudzy nie posługiwali się adekwatnym językiem. To, co się wydarzyło, było podbojem kontynentu kosztem wszystkich stawiających opór. Jak przekonywał pewien biały mówca, prawa tak boskie, jak i ludzkie przesadzają o wyższości oświeconego społeczeństwa amerykańskiego w interesie całej ludzkości. Nie można się wyrzekać błogosławieństw „wolności, cywilizacji i religii” dla kaprysu jakiejś żalosnej garstki, powiedział Andrew Jackson.

Niemniej, mimo tej smutnej historii, mamy niejaka pociechę w tej świadomości, że jako społeczeństwo skorzystałszy wiele z lekcji przeszłości. Jak wynika z tej tragicznej epoki, to co stanowi największy spadek po przejściach naszych przodków na Starym Północnym Zachodzie, to lepsze zrozumienie nieodłącznej odpowiedzialności ludzi za poszanowanie praw innych i walka o wspólne dobro. □

Wiley Sword

Przetłumaczył Aleksander Sudak

Wiley Sword jest biznesmenem z Michigan i historykiem z zamiłowania. Z jego pięciu książek o dziejach wojskowości w Stanach Zjednoczonych, najbardziej znana jest *President Washington's Indian War: The Struggle for the Old Northwest 1790-1795*.



Wilma Elizabeth McDaniel

Wilma Elizabeth McDaniel – ur. 1918 w rodzinie angielsko-czirokeskiej; wychowywała się wśród Indian Krik w Oklahomie. W 1936 roku przeprowadziła się na stałe do Kalifornii. „Mieszkam ciągle w tym samym stiukowym domku, z szeroką szparą po jednym z licznych tu trzęsień ziemi – powiedziała. – Przez całe życie byłam szczególnego rodzaju poetką, nawet wtedy, gdy nie rozumiałam, co mi dolega. Jestem poetką, która odkrywa, że starzenie się zaostża jedynie ból i piękno poezji. Wydawcy byli na tyle uprzejmi, że opublikowali trzynastce tomików moich wierszy; wiele z nich ukazało się też w czasopiśmie i magazynach. Krążyłam po różnych uczelniach i uniwersytetach, ale nie dawało mi to żadnej inspiracji. Nawet teraz muszę usiąść pod swym jedynym drzewem i wspominać czerwoną, gliniastą ścieżkę mego dzieciństwa. Słucham zmokniętych wron w błękitnym fiolecie mgły przedświt i jakiś ład, jakieś piękno przenika mi duszę i spływa poezją w pióro.”
Przekładu wierszy dokonano na podstawie tomików *Who Is San Andreas* (1983) oraz *I Killed A Bee For You* (1987), obu wydanych przez opactwo benedyktynów The Blue Cloud Quarterly (Marvin, S.D.) Copyright © by Wilma Elizabeth McDaniel.

Poranne rozstanie z droginami przyjaciółmi

Czasami lepiej
zobaczyć jaskrawy świt
rzucić ubranie na krzesło
zapomnieć o zmiętej pościeli

Czasami mądrzej
z biegiem lat
wymknąć się niepostrzeżenie
z niewypowiedzianym do widzenia

Zabiłem dla ciebie pszczołę

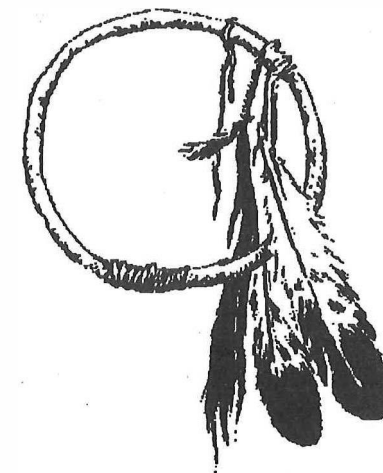
Słońce w lipcu pali mocniej na ulicy
tak biednej jak ta
gdzie dzieci mijają moją furtkę
w drodze do domu z niedzielnej szkółki
Skrobałam marchewki nad zlewem
i obserwowałam je przez uchylone
okno
jakaś ślicznotka pięć albo sześć lat
przemaszerowała wyniosłe
machając workiem na książki
ścigana przez chłopca w jej wieku
z pyzatą zaczerwienioną buzią
w dżinsach z Tajwanu trochę
za ciasnych
błagającą dziewczynkę
Kelly rozmawiaj ze mną
Zabiłem dla ciebie pszczołę
użądliła mnie
a tobie wszystko jedno
ślicznotka wzruszyła lśnjącymi włosami
i pobiegła dalej ulicą
Stałam z nożem
i myślałam o tych chwilach
Kiedy Bóg zabił dla mnie pszczołę
i wziął żądło na siebie
zaś ja biegłam dalej
i było mi wszystko jedno
wzruszałam ramionami
na życie
jak ta dziewczynka o lśnjących włosach

Pytanie

Nettie Crowley
urodziła się jako córka
surowej zagrodowej ziemi
siostra palącego
słońca
kuzynka spóźnionego
deszczu
złota obrączka
włosy w kok
dobre buty na niedzielę
osiem klas nauki
pierwszorzędna pamięć
dwóch wnuków w wojsku
perspektywa kolejnej wojny
przyprawia ją o bezsenne noce
Nattie spowiada się
niemiej ciemności
jestem tylko gospodynią
co mam zrobić?

Rada dla dziewczyny bez pewności siebie

Granny Ames kochała szczupłą
do bólu nieśmiałą Dofrinę
i próbowała pomóc jej dojrzeć
słowami otuchy
pułapkami przed którymi jej
nie ostrzeżono gdy miała dziesięć lat
Nie spuszcza głowy kiedy mijasz
dom świeżo pomalowany farbą
nic ci nie umnie
ale też nic ci nie doda



Ostatnie odwiedziny Indianina

Oscar Turnbull
przyjechał do domu z miasta
po raz ostatni
spogląda na nie brukowaną
ulicę
i pyta ze smutkiem: „Gdzie są
praczki? Nie widzę już balii
wiszących na ścianach domów.”
jego umysł musi mieć więcej lat
niż osiemdziesiąt pięć
czyżby nie rozumiał że te czasy odeszły
na zawsze
bielizna już nie łopocze na tych
zardzewiałych drutach
gdzie kobiety lubiły wystawać
i patrzeć jak preria
spotyka się z niebem
teraz wszędzie anteny telewizyjne
w skrzynkach pocztowych
rachunki za pralnię
przeważnie zaległe

Wiersze przełożył MAREK MACIOŁEK

Każdy dzień rozpoczynany będzie ceremonią palenia tytoniu i cedru. Każdy z biegaczy będzie niósł Święty Staff, a każda mila, każdy kilometr będzie wypełniony modlitwami za wszystkie żywe istoty, każdą roślinę, drzewo i kwiat. Będziemy modlić się za naszych krewnych czworonożnych, skrzydlatych i owady. Będziemy dziękować Wielkiemu Duchowi za wszystko, czym nas obdarza. Będziemy codziennie darzyć szacunkiem Księżyc, Gwiazdy, Słońce i Świętość naszych kobiet. Każdego wieczoru będziemy zbierać się w kręgu i ofiarowywać tytoń. W czasie całej naszej drogi będziemy odprawiać ceremonie oczyszczania, a wieczorny czas wypełnią nam opowieści. To będzie dobry Bieg dla naszych młodszych pokoleń. To będzie czas szacunku dla Starszyny i przygotowania kierunku dla Siódmego Pokolenia. Nie będziemy używać alkoholu ani narkotyków, ani spierać się z powodu naszych wyznań, religii czy odmiennych wierzeń. Będziemy szanować wszystkie rasy obecne w czasie Duchowego Biegu, Świętego Biegu. Takimi będziemy.

Sacred Run Newsletter Japonia 1995

ŚWIĘTY BIEG – JAPONIA 1995

Termin: 24 czerwca–10 sierpnia 1995 roku.
Trasa: z wyspy Rishiri (najdalej na północ wysuniętego punktu Japonii) poprzez Hokkaido (wizyta u Ajnów, miejscowej ludności tubylczej) i dalej wzdłuż wybrzeża Morza Japońskiego przez wyspę Honshu i Kiushu do Nagasaki.

Dystans: około 4 tysięcy kilometrów.

Liczba biegaczy: wahająca się w granicach 100–140 osób z czternastu krajów (w tym Indianie z USA i Kanady).

Program: bieg, ceremonie religijne, demonstracje pod elektrowniami atomowymi, programy kulturalne, spotkania z miejscową ludnością i lokalnymi władzami, spotkanie Pielgrzymki Pokoju z Oświeceniem, udział w obchodach 50 rocznicy zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki.

Cel: ochrona Matki Ziemi i wszystkich istot na niej żyjących.

Wrażenia: piękny, górzysty, wyspiarski kraj; upał, ryżowe i herbatiane pola;

wspaniałe, wiekowe buddyjskie i shintoistyczne świątynie; niezrozumiały język; wspaniali ludzie, szczególnie japońskie dziewczyny.

Każdy dzień Biegu jest ceremonią. Bieg jest modlitwą, ofiarą dla uzdrowienia Matki Ziemi i Jej Dzieci. To tradycja tubylczych Amerykanów. Dla nich bieg oznacza modlitwę, pogłębienie więzi z Matką Ziemią.

Teraz przybywamy razem. Siostry i bracia różnych narodów, wyznań, kultur i kolorów skóry. Będziemy w Kręgu razem z tubylczymi Amerykanami, starszymi i młodszyimi biegaczami, ucząc się ich dróg i dzieląc się z innymi tym, co sami posiadamy.

W tym roku Święty Bieg zanieś przesłanie do Hiroszimy i Nagasaki, że każde życie jest święte i że jego delikatna równowaga potrzebuje szacunku. Niech nasza dzielność, połączenie, wewnętrzne światło, przyniesie nowy świt nuklearnej erze odrętwienia i separacji.

Sacred Run Newsletter Japonia 1995

Roman Bala

Konnichiwa Nihon!

19 lipca. Samolot ląduje na lotnisku Narita koło Tokio. Widzę młodego chłopca, trzymającego kartkę z napisem „Welcome Roman Bala”. To Mimi – tak go wszyscy nazywają, chociaż on woli aby go nazywać Nori. Jedziemy pociągłem do Veno, dzielnicę Tokio, skąd zabieramy Garry'ego, biegacza z USA, a potem już pociągłem ekspresowym do Nagaoka i jeszcze kawałek lokalnym do Kashiwazaki, nad Morzem Japońskim. Przyjeżdża po nas samochodem Okuno, stary znajomy z Biegu w Polsce w 1990 roku. Rozpoznaję go od razu. Rzucamy się sobie w ramiona. Wkrótce znajdujemy się w starej buddyjskiej świątyni. Kolejny dzień Biegu się zakończył i wszyscy już są na miejscu. Witam kolejnych starych znajomych: Dennis, Muro, Taichi, Lima, Fred, Daijiro, Chubbs, Marie, Melinda, Maru, Masato, Seiji. Jest też Zdzichu i Anka*. Wkrótce spotkanie w Kręgu. Dennis ogłasza oficjalnie moje przybycie. Ceremonia zakończenia dnia Biegu. Oczyszczenie dymem szalwi. Oznajmienie, że właśnie dzisiaj Bieg osiągnął półmetek. Poznaję nowych ludzi. Jest ich bardzo dużo. Trudno zapamiętać wszystkie imiona, więc zaczynam je notować. Potem kąpiel w gorącej łaźni. Łaźnie publiczne są tutaj na każdym kroku. Woda płynie z gorących źródeł. Najpierw myję pod prysznicem, siedząc na małym stołeczku, a dopiero potem kąpiel w basenach z gorącą wodą. Śpimy w świątyni na *tatami*, specjalnych matach pokrywających podłogę. Rano generalne sprzątanie. Każde miejsce po opuszczeniu musi być czystsze niż było przedtem. Zakaz śmiecenia jest rygorystycznie przestrzegany.

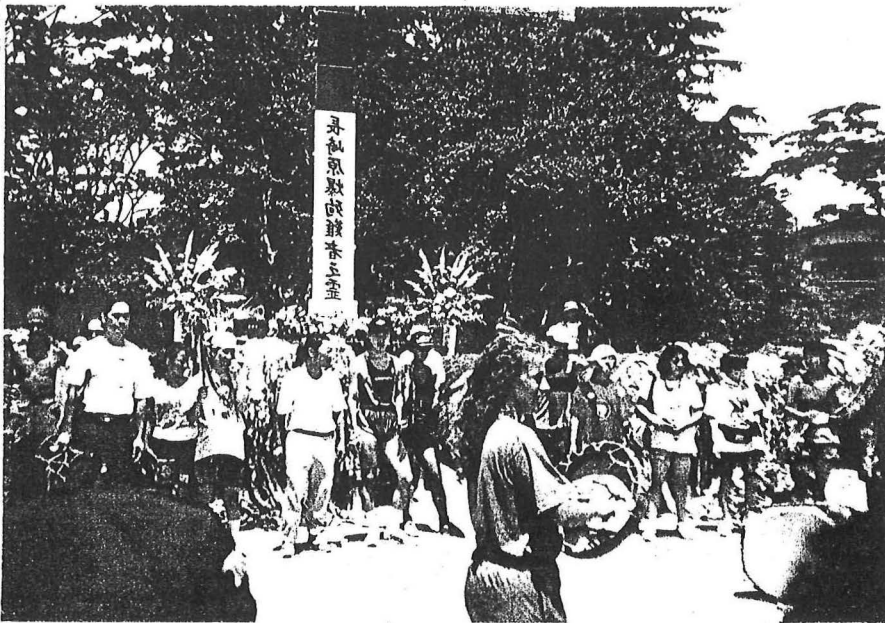
* W Świątyni Biegu – Japonia 1995 wzięło udział troje polskich biegaczy: Anna Domitrska, Roman Bala oraz Zdzisław Bala – przyp. red.

Pierwszy dzień mojego Biegu. Trudny. Upał i wilgoć. Biegnę 5 km przez góry. Wystarczy. I tak mija dzień za dniem. Trasa Biegu wiodzie wzdłuż Morza Japońskiego. Śpimy przeważnie w świątyniach lub na kempingach pod namiotami, czasem trafia się jakaś sala gimnastyczna. Kempingi są przeważnie nad morzem i w górach. Większość obszaru Japonii to góry. Pozostałe tereny zajęte są przez pola uprawne, mlejsowości i zakłady przemysłowe.

Dosyć często odbywają się tzw. wymiany kulturalne. Przeważnie społeczność lokalna raczy nas programem: teatr kabuki, muzyka, taniec, tradycyjne instrumenty. My rewanżujemy się swoim programem.

Składamy wizytę każdej elektrowni atomowej, leżącej na trasie Biegu. Jest ich w Japonii mnóstwo. Organizujemy demonstracje z udziałem miejscowej ludności. Ofiarowujemy modlitwy, szalwę, cedr, tytoń. Cały czas zbieramy podpisy pod petycją skierowaną do rządu Francji, protestując przeciwko próbom jądrowym na Atolu Mururoa.

5 sierpnia w siedzibie YMCA w Hiroszynie spotykamy się z Pielgrzymką Pokoju, która wyruszyła w grudniu 1994 z Oświeceniem. Jakże przyjemnie spotkać znowu Marcusa, Su, Sasamori, Atzko i innych. Potem trwa kilkugodzinna konferencja. Krótkie przemowy wielu ludzi z całego świata. Następnego dnia ołbrzymia demonstracja pokoju. Kilkaset tysięcy ludzi z całego świata protestuje przeciwko wojnie, w parku w Hiroszynie, przed budynkiem zniszczonym przez bombę atomową i zostawionym w tym stanie ku pamięci i przestrodze. Zbliża się godzina 8.50. Zalega straszliwa cisza. Wszyscy się modlą. Wiele kładzie się na ziemi. Niektórzy płaczą. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić tę chwilę 50 lat temu. To było straszne!



Ceremonia w Nagasaki 9 sierpnia br.

Następnie odbywają się występy kulturalne różnych grup. Również ekipa Świętego Biegu bębni, śpiewa i tańczy. Potem ogromny łańcuch rąk ludzkich dookoła budynku. Podobna uroczystość odbyła się trzy dni później w Nagasaki.

Dzienne dystanse Biegu są dosyć krótkie. Średnio po sto kilometrów. Dlatego biegamy systemem sztafetowym. Kolejny biegacz zaczyna, gdy poprzedni kończy. Staff znajduje się zawsze na przedzie, przekazywany z rąk do rąk. Reszta może biec z tyłu. Każdy tyle, ile zechce. Ja biegam od 5 do 15 km. Po kilku dniach decyduję się wziąć udział w biegu 30 km. Gorąco, duszno, zmęczenie. Nogę nie wytrzymują. To powoduje, że podczas „spaceru” po skałach wulkanicznych nad brzegiem morza upadam i ranę poważnie spod lewej stopy. A za cztery dni bieg na 100 km. Nie biegam więc w ogóle, próbując się kurować. Oplekuję się mną Renate, pielęgniarzka z Niemiec. Na sto kilometrów startuję około 15

osób. Dla większości będzie to zadanie ponad siły. Specjalna ceremonia dla długodystansowców i osób wspomagających. Oczyszczenie dymem szalwii, zawieszenie „świętych zawiniątek” przez japońskie dziewczyny i w drogę. Reszta będzie w tym czasie grała w *fire ball*, kilku wylądowało w szpitalu.

Skład naszej grupy to: Zdzichu, ja oraz dwie wspaniałe japońskie dziewczyny, Misa jako kierowca i Akemi jako masażystka. I tylko dzięki ich opiece i pomocy paru innych osób, m.in. australijskich dziewczyn: Helen, Jenny i Sue, mogłem zapomnieć o swej dziurawej stopie, przezwyciężyć ból i ukończyć ten ważny bieg. Zdzichu też tego dokonał. A warto było! Nigdy w życiu nie otrzymałem tylu słów uznania, nie doznałem takiej serdeczności i troski ze strony wszystkich uczestników Biegu, co w tym dniu. Była to grupa wspaniałych ludzi i silnych biegaczy. Potem do końca biegałem już tylko symbolicznie. Poświęci-

łem się natomiast pracy w kuchni, bowiem codziennie wyznaczona grupa przygotowywała posiłki dla wszystkich uczestników. Mieliśmy dwa samochody kuchenne. Żywność otrzymywaliśmy od miejscowej ludności, kupowaliśmy lub prosiliśmy o nią w różnych sklepach (bardzo często reakcja była pozytywna). Bywały też dni, kiedy wszystko przygotowywali miejscowi organizatorzy.

Liczba biegaczy wahała się w granicach 100-140 osób. Obsada była rzeczywiście międzynarodowa. Około dziesięciu Indian z USA i Kanady, przeważnie młodych oraz kilku nie-tubylczych Amerykanów. Była silna grupa biegaczy z Australii, dwie osoby z Chile, jedna z Argentyny, jedna z Izraela, Europejczycy z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Finlandii, Rosji, Belgii i Polski oraz wielu wspaniałych biegaczy z Japonii. W miarę posuwania się Biegu, spotykałem kolejnych starych znajomych: w Hiroszimie niezapomnianego Nobu z żoną Mari; Yumi Horikoshi na ostatnich metrach 35 km biegu; Emmetta na przełęczy Ningyo (w czasie Biegu umarła mu siostra, więc wyjechał na kilka dni do USA) i w Tokio, a na koniec Tomoko, w czasie drogi powrotnej do Europy.

Do głównego Biegu dołączali również Biegi lokalne, tzw. *Branch Runs*, z różnych miejscowości w Japonii. Dzięki Biegowi z Kobe, na przełęczy Ningyo poznałem „Kobe Baby”...

Również ci, którzy odeszli byli wśród nas. W tym roku zmarł wieloletni uczestnik Świętych Biegów, znany wielu z nas m.in. z Biegu w Polsce, Peter Lone Elk

z Ogłala; odszedł też reżyser filmu *Hopi Prophecy* (nazwiska nie pamiętam). Jednak w dalszym ciągu byli oni obecni wśród nas, bo były z nami ich fotografie i nasza pamięć o nich.

Po powrocie do Polski, dowiedziałem się z listu Angeli, że odeszła również Anne Stökel, działaczka berlińskiej grupy poparcia na rzecz Indian, znajoma wielu z nas, uczestniczka Biegu w Polsce.

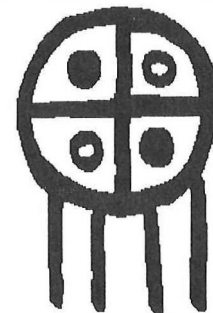
Był to wspaniały Bieg. Zdecydowanie najlepszy z dotychczasowych; pod każdym względem. A stało się tak dzięki wzorowej organizacji, ciężkiej pracy i poświęceniu wielu japońskich ludzi. Miała na to również wpływ japońska kultura, tradycja, buddyjska religia i ogólna życzliwość ludzi oraz wszechobecny uśmiech. Tutaj każdy z obcokrajowców potrzebował pomocy, wręcz prowadzenia za rękę, chociażby ze względu na barierę językową. Nawet ludzie znani dotychczas z egoistycznych postaw i gorących temperamentów, potrafili pofolgować i dostosować się do rzeczywistości. Dzięki temu Bieg odbywał się we wspaniałej atmosferze, harmonii, wzajemnej życzliwości i akceptacji, zgodnie z jego ideą. Wszystkim organizatorom Biegu, a szczególnie Yumi, Okumo i Masato należą się słowa gorącego podziękowania. DOMO ARIGATO GOZAIMASU!

W drogę powrotną (odwiedziłem wtedy Japońskie Biuro Świętego Biegu w Osace oraz koleżankę z Biegu92 w Tokio) zabrałem ze sobą mnóstwo niezapomnianych wrażeń, kilka kliszy zdjęć, kilka godzin filmu wideo, drobne prezenty. A zostawiłem tam swe serce. Nigdy nie zapomnę tych chwil. Nigdy nie zapomnę przysługi wyświadczonej mi przez japońskich organizatorów, dzięki którym mogłem wziąć udział w Biegu. Sobie i wszystkim życzę, aby każdy następny Bieg był tak samo dobry.

A kolejny już za niecały rok (kwiecień-lipiec 1996) z Los Angeles do Atlanty. Do zobaczenia na trasie! SAYONARA!

Podziękowania dla uczestników zlotu w Prostyni za życzenia dla Biegu. Wielu znajomych pytało o was! □

Roman Bala



Złotowa Dziewiętnastka

Kiedy wkrótce po powrocie z Złotu Przyjaciół Indian w Prostyni zastanawiałem się, co mógłbym napisać na temat tego największego w historii spotkania polskich indianistów (blisko 60 tipi, ponad 350 zarejestrowanych uczestników i kilkuset przelotnych gości), przyszedł mi do głowy prosty, wydawałoby się, pomysł: lista *Top Ten*, czyli dziesięciu „gwiazd” – najbardziej wyróżniających się, bądź tylko szczególnie charakterystycznych uczestników naszego dziewiętnastego spotkania.

Ale kiedy tylko sięgnąłem po kartkę i ołówek, by wynotować sobie nazwiska moich „kandydatów”, pojawił się problem. Zdałem sobie oto sprawę z tego, że trudno mi będzie zmieścić się w dziesięć – tak wielu ludzi pokazało się na tym zlocie z dobrej strony, w tak różny sposób dali się zauważyć. Ale skoro był to dziewiętnasty zlot – to dlaczego by nie stworzyć dłuższej listy, na przykład dziewiętnastu? Spróbowałem – i tak powstała moja Złotowa Dziewiętnastka.

1. Paweł Wolak, „Wilk” ze Szczawna pod Wałbrzchem. Do niedawna nieznany nikomu szesnastolatek, starający się wytrwać o możliwość wyjazdu na swój pierwszy Zlot. Pomimo tego – już wyposażony w tipi (które na zlocie zamienił na większe), strój i walizkę indiańskich gadżetów (były już na szkolnej wystawie). „Najważniejsze są czyni, a Wilk nie rzuca słów na wiatr” – napisał przed zlotem, by zaraz po przyjeździe zgłosić się na Obwoływacza. Szybko stał się znany i słyszany w całym obozie, a przed wyjazdem zdążył jeszcze przekazać swoje obowiązkowe następcom i zapytać o szanse przyjęcia do PSPI.

2. Wojciech Pażucha z Nowego Sącza. Artysta plastik, który już w przedzłotowej ankiecie zaproponował warsztaty rzeźbiarskie i wspólne wykonanie totemu. Na zlocie, otoczony wianuszkami uczniów, systematycznie materializował swój oryginalny pomysł, a o prawo do zaopiekowania się gotowym totemem ubiegały się Koszalin i Sztum. Zainteresowanie sporej grupy

osób budziła też demonstrowana przez niego sztuka wykonywania plecionek z trawy – bliska niedocenianemu przez nas, a rozwiniętemu m.in. wśród Indian, koszykarstwu.

3. Przemysław Bartuszek z Warszawy. Jeden z młodych, ambitnych i niezależnych liderów grup lokalnych, wyróżniający się pozytywnie w Ruchu Inicjator drugiej już wiosennej sesji filmowej w Warszawie. Tym razem dał się poznać jako osoba nie tylko umiejąca śpiewać (solo i w duecie) oraz bębnić (na własnym instrumencie!), ale także umiejąca wyjaśnić co i dlaczego robi. Zaproszony podczas zlotu na Walne Zgromadzenie PSPI, po namyśle przyjął propozycję wstąpienia do Stowarzyszenia, licząc na rozwój działalności w stolicy.

4. Bogdan „Victorio” Zdanowicz z Giżycka, od paru lat blisko współpracujący z grupą białostocką, od ponad roku członek PSPI. Podczas zlotu, kiedy trzeba – sprawny funkcjonariusz Stowarzyszenia Kościelnego Gwizdka, kiedy indziej – malowniczy

tancerz, obiekt podchodów dziewczyn i fotografów, zawsze chętny do rozmowy z każdym młodszym złotowiczem, zainteresowanym np. kulturą Indian Równin. Z zamiłowania – tradycjonalista, z charakteru – budzący sympatię i zaufanie odpowiedzialny organizator i dowcipny kolega.

5. Anna „Kezha” Zajączkowska, studentka kulturoznawstwa we Wrocławiu, „szalona motocyklistka” z Piotrkowa Trybunalskiego, od ponad roku w PSPI. Bezpośrednia i skromna zarazem, na swoim trzecim zlocie weszła zasłużenie do Rady Kobiet. Niepewna swej wiedzy i talentu oratorskiego – poprowadziła jedną z ciekawszych złotych prelekcji (o kulturze Indian z Wyspy Vancouver). Choć niepozorna – nie dała szans rywalkom (i rywalom) w zręcznościowych grach eskimoskich.

6. Agnieszka Złomek ze Sztumu (a właściwie od kilku miesięcy Agnieszka Karnabal z Dąbrowy). Od paru lat można ją było zauważyć na zlotach i nie tylko (m.in. jako członkinię grupy folklorystycznej ze Sztumu). Tym razem jednak była zauważalna

szczególnie – nie zrezygnowała ze złotu mimo, że tuż po nim miała po raz pierwszy zostać mamą. Jej udział w spotkaniach, a nawet sama obecność w obozie (obok sporego grona rodziców z kilkumiesięcznymi nawet pociechami), indiańska sukienka i ulubione wypatane siedzisko – nadały całemu złotowi bardziej rodzinny i „włoskowy” charakter.

7. Aleksander Danyluk z Raciborza – właściwie nie da się opisać w kilku zdaniach. Ulubieniec dzieci i najmilszy – zdaniem nie tylko kobiet – uczestnik zlotu. Wykonawca równie swobodny w repertuarze andyjskim, co w północnoamerykańskim. W pierwszym szeregu tancerzy na *pow-uow* i ochotników do wyrzucania śmieci. Uczestnik niemal wszystkich złotych gier, podrzucany ku niebu bramkarz zwycięskich piłkarzy Południa. Artysta, wodził? Po prostu – Olek!

8. Wiesław Koleczek z Kościelzyny. Choć od lat przyjeżdża na złoty jak wszyscy – z plecakiem, to zamiast indiańskiego stroju dźwiga w nim m.in. „polityczne” paplery.



Od lewej: Wiesław „Niedźwiadek” Karnabal, Leon Rzątkowski, Bogdan „Victorio” Zdanowicz i Jan Rzątkowski

Od kilku też lat poszukuje – nie tylko w Ruchu (także np. w Amnesty International) – ludzi tak jak on zajmujących się współczesnymi Indianami i działalnością wspierającą. Na zlocie dwukrotnie udało mu się zgromadzić w *ttotipi* osoby zainteresowane utworzeniem grupy poparcia. Z nowymi nadziejami wyjechał ze zlotu na Euromeeting w Szwajcarii.

9. Mirosław Bogusz – „Śluku” z Białogostoku. Nieubłagany – dla niesfornych zlotowiczów – przywódca Stowarzyszenia Kościanego Gwizdka i jednocześnie zawsze otwarty dla szukających wiedzy na indiańskich ścieżkach „młodych” starszy kolega. Zafascynowany m.in. tradycyjną kulturą Lakotów, jeden z bogatszych w doświadczenia i sukcesy – liderów grup lokalnych i działaczy PSPI. Rzemieślnik, tancerz i orator – chętnie widzi w swoim *tipi* wielu gości (z wążką chrustu), by wysłuchać ich zdania, a potem – stanowczo wyłożyć swoje.

10. Aleksander „Czejen” Sudak z Kościerzyny. Jeden z weteranów Ruchu oraz barwniejszych bywalców zlotów i indianistycznych imprez. Swoją wiedzę – dorównujący niejednej uniwersyteckiej sławie z USA, barwnością wypowiedzi – z powodzeniem rywalizujący z Tony Hallkiem, a temperamentem – z każdym latynoskim *macho*. Do Prostyni przyjechał z trzema poznaczonymi w Hiszpanii Indianistami i kanu Sat-Okha. Swoje spotkanie poświęcił – jakżeby inaczej – Indianom i alkoholowi.

11. i 12. Bliźniacy Jan i Leon Rzatkowski, wychowankowie klubu Stowarzyszenie Żółwi ze Sztumu. Od dłuższego czasu samodzielnie – i z sukcesami – kroczący swoją indiańską ścieżką, która zawiodła ich na krajowe estrady, przed telewizyjne kamery oraz na *pow-wow* w lakockim rezerwacie Pine Ridge. Jako artyści wykonujący indiańskie tańce i wszelkie związane z tym rekwizyty – nie mają sobie równych w kraju. Bywalcy zlotów od lat, swymi występami (bez nagłośnienia), kolorowymi strojami i barwnymi opowieściami przekonująco zachęcali młodych Indianistów do pójsia w swoje ślady.



Sat Okh

13. Marek Długosz z Koszalinu. Dla jednych „Prezes” (PSPI), dla innych – po prostu Misiu, dla wszystkich w Prostyni – najbardziej widoczny i oddany swej funkcji z organizatorów tegorocznego zlotu. Pomyślny ankiety przedzlotowej, autor zasad porządkowych oraz koncepcji programowej (nie programu, co podkreślał wielokrotnie). Twórca i prowadzący Rady Zlotu chcący, by jak najwięcej działo się z inicjatywy samych uczestników Zlotu, mimo to (a może dzięki temu) – najczęściej poszukiwany mieszkaniec obozu. Człowiek – instytucja, który jako nagrodę dla tych, którzy wytrwali w Prostyni do końca przeznaczył własne *tipi*. Sam był tam – i pracował – przez miesiąc. Odpocznij, być może, na jubileuszowym zlocie w Chodzieży.

14. Konrad Konarzewski z Koszalinu. Znudzony pić herbaty na kilkunastu kolejnych zlotach, współinicjator zlotu w Prostyni. Od paru lat najbliższy współpracownik (i pracodawca) Prezesa, twórca podkoszalińskiego Centrum Przyjaciół Indian, w PSPI – wiceprezes ds. gospodarczych. Na zlocie – niezastąpiony „służbowy” kierowca, niezmordowany praktykant

śpiewu i bębnienia, wykonawca najlepszych luków (praktyk i wykładowca) oraz właściciel dwóch największych *tipi* (w tym niezastąpionego *ttotipi*, czyli *Tipi Rady*). Jeden z tych, którzy umieją realizować swoje marzenia – i pomóc w tym innym.

15. Mira Biegus ze Skoków. Jej doświadczenia z 15 lat obecności w Ruchu i na zlotach okazały się nieocenione podczas tegorocznej próby zwrócenia większej uwagi na rolę kobiet i ich Rady w życiu obozu. Mimo obowiązków rodzinnych (w których jak zwykle chętnie pomagał jej mąż, Andrzej), znalazła czas i chęć do organizowania i prowadzenia „babskich” spotkań, do dzielenia się z nastoletnimi w większości zlotowiczkami swoją wiedzą o Indianach i życiu oraz do sympatycznych jak zawsze spotkań ze starymi przyjaciółmi.

16. Wiesław „Niedźwiadek” Karnabal z Dąbrowy koło Poznania. Jeden ze zlotowych weteranów i współorganizatorów tegorocznego spotkania, redaktor naczelny „Tawacinu” oraz kopalnia praktycznej wiedzy o rzemiośle, kulturze i muzyce Indian Ameryki Północnej (zwłaszcza Indian Crow). Nie opuszczała Niedźwiadka od lat dla niego typowa otwartość i łatwość w nawiązywaniu kontaktów, wrodzone poczucie humoru i *image* tradycjonalisty. Nie przeszkadzała mu w tym wszystkim nowa dla niego rola troskliwego męża i kierowcy.

17. Marek Kabat z Chodzieży. Podobnie jak Niedźwiadek na zlotach od samego początku, w każdej chwili (wolnej od opieki nad córką) gotów służyć swą radą i wiedzą. W tym roku – prowadzący do upadłego szalasy potu dla początkujących Indianistów, członek Rady (i PSPI) ceniony za konkretność i doświadczenie, chętnie odpowiadający też na pytania młodych zlotowiczów o indiańskie bęgi, stawianie *tipi*, religię i obyczaje Indian, a nawet – co interesowało zwiedzających obóz turystów – o sposoby... rozmnażania się Indianistów.

18. Marla Czerwińska z Warszawy. Udały powrót na łono przyjaciół Indian uczestniczki pierwszego zlotu w Chodzieży, od lat – znanego hodowcy i treserki alaskian-

skich psów pociągowych, właścicielki klubu „Cze-ne-ka” i organizatorki wyścigów psich zaprzęgów. Podczas zlotu, oblegana ze swymi sympatycznymi czworonożnymi przyjaciółmi, zorganizowała atrakcyjną prezentację ich możliwości i zaprosiła młodników Indian i psów na październikowe zawody pod Warszawą.

19. Stanisław Supłatowicz z Gdańska, czyli po prostu Sat-Okh. Pisarz, gawędziarz i popularyzator tradycyjnej kultury Indian, znany większości z nas, zanim jeszcze trafił do Ruchu. Dla wielu, zwłaszcza młodszych, Indianistów możliwość ujżenia go i usłyszenia na zlotach stanowi nieodmiennie największą atrakcję naszych spotkań. Sat powraca na nie, od samego początku, co parę lat – wraz ze swym *tipi*, strojami, książkami i prezentami (w tym roku także z Panią Wandą – swoją sympatyczną żoną). A my znowu chętnie gościliśmy go wśród nas z nadzieją, że nie po raz ostatni.

Tylko dwiętnastu ludzi, a jakież tu bogactwo osobowości i ileż związanych z nimi indywidualnych wspomnień każdego z nas – uczestników niedawnego zlotu. Oczywiście więc, że nie dało się ich przedstawić w pełni w tych kilku zaledwie zdaniach (a każdy z nich zasługuje na osobny wywiad w „Tawacinie”) i że każdy z uczestników zlotu nieco inaczej ma prawo ich pamiętać i oceniać. Naturalne też, że każdy, kto choć przez chwilę był tego lata w Prostyni, mógłby stworzyć swoją własną listę – podobną tylko, lub nawet całkowicie odmienną od mojej. Albo stworzyć np. listę najważniejszych – jego zdaniem – i najciekawszych wydarzeń zlotowych, i przesłać ją do redakcji „Tawacinu”. A może to nie tylko mój pomysł?

Z pewną taką nieśmiałością ujawniłem swoją listę dwiętnastu bohaterów dwiętnastego zlotu. Większość z nich nie zabraknie zapewne za rok, na podobnej liście *Top Twenty* z dwudziestego zlotu. I każdy z Was ma jeszcze szansę zostać tym Dwudziestym. Czego i sobie życzę

Marek Nowocien

Przed 20 laty w lakockim rezerwacie Pine Ridge padły fatalne strzały, które dały początek ciągnącej się do dziś „Sprawie Leonarda Peltiera”. O staraniach o uwolnienie z więzienia – i oczyszczenie z zarzutów – tego działacza Ruchu Indian Amerykańskich (AIM) słyszeli chyba wszyscy, którzy interesują się współczesnym życiem i problemami Indian Ameryki Północnej. Miliony ludzi na całym świecie – i tysiące w Polsce – uczestniczyły przez te lata w akcjach poparcia dla Leonarda i dla spraw, które symbolizuje. Mimo wyczerpania wszystkich możliwości doprowadzenia do rewizji procesu, Komitet Obrony Leonarda Peltiera (LPDC) nie traci nadziei na uwolnienie go w drodze ulaskawienia przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, gromadząc argumenty i głosy poparcia za tą humanitarną oraz symboliczną decyzją.

Drukowane poniżej wystąpienie na forum Senatu Stanów Zjednoczonych jest jednym z najlepszych podsumowań tej wieloletniej i wielowątkowej sprawy. Jest też zarazem dowodem na rosnące zainteresowanie nią w kręgach ludzi, od których zależy mogą dalsze losy Leonarda Peltiera – i relacje między tubylczymi Amerykanami a władzami i amerykańskim społeczeństwem.

Choć od wystąpienia senatora Adamsa minęły trzy kolejne lata, to niewiele zmieniło się w prawnej i życiowej sytuacji Leonarda Peltiera, przebywającego nadal w celi więzienia w Leavenworth, w stanie Kansas. Mimo apeli wielu organizacji i znanych osób, mimo płynących do Białego Domu petycji, telegramów, faksów i telefonów o ulaskawienie od ludzi, których poruszył los tego najsłynniejszego więźnia politycznego w USA, „Sprawa Leonarda Peltiera” nadal czeka na zakończenie. (Cień)

20 LAT SPRAWY LEONARDA PELTIERA

Wystąpienie senatora Adamsa w Senacie USA

Panie Prezydencie, 116 lat temu [przemówienie wygłoszono 25 czerwca 1992 roku – Red.], 25 czerwca 1876 roku, blisko połowa żołnierzy 7 pułku kawalerii Stanów Zjednoczonych, kierowana przez George’a Armstronga Custer, poległa w słynnej bitwie nad rzeką Little Big Horn. Bitwa ta wpłynęła na losy naszego narodu, losy Indianińskich plemion i grup oraz wielu spośród tych, którzy przeżyli, a także ich potomków.

W następnym roku pozostali żołnierze 7 pułku, pod dowództwem pułkownika Samuela Sturgisa – którego syn, porucznik James G. Sturgis, poległ z Custerem – przechwycili grupę Indian Nez Perce wodza Józefa w górach Bear Paw w Montanie. W ten sposób zakończyła się epicka ucieczka ku przetrwaniu w kierunku Kanady, podczas której ostatnich 79 mężczyzn, 178 kobiet i 174 dzieci z grupy Indian Nez Perce wodza Józefa liczyło na dołączenie do przy-



wódcy Siuksów Hunkpapa, Sledzącego Byka, żyjącego tam wówczas na wygnaniu.

Po bitwie nad Little Big Horn Sledzący Byk wycofał się ze swoją grupą do Kanady, gdzie pozostał do 1881, kiedy to – dzięki pośrednictwu władz Kanady – poddał się w zamian za obietnicę amnestii. Po powrocie do USA, Sledzący Byk był przetrzymywany jako więzień wojenny aż do 1883, po czym zamieszkał na rzece Grand, w dzisiejszej Dakocie Południowej. 15 grudnia 1890 roku Sledzącego Byka zamordowano w jego obozie pod pretekstem stawiania oporu przed aresztowaniem.

29 grudnia 1890 roku ponad 300 mężczyzn, kobiet i dzieci z grupy tradycyjnych Siuksów prowadzonej przez Wielką Stopę zostało zmasakrowanych przez 7 pułk kawalerii w pobliżu wioski Pine Ridge, w miejscu zwanym Wounded Knee (Zranione Kolano).

Wielu spierałoby się, że każde z tych wydarzeń w historii stosunków rządu federalnego z tubylczymi plemionami, opierającymi się dążeniu do zniszczenia ich sposobu życia, to odrębny, nie związany z innymi epizod. Jednak uważne zapoznanie się z wydarzeniami, które doprowadziły do bitwy nad Little Big Horn oraz z jej następstwami sugeruje, że zasadniczą niemożność zrozumienia unikalnej kultury, tradycji, religii i aspiracji tubylczych Amerykanów w obecnej Dakocie Pd. i na Północnym Zachodzie skierowała nasz naród

na kurs o tragicznych konsekwencjach. Pamięć tych tragicznych kart amerykańskiej historii wciąż trwa wśród potomków tych, którzy polegli nad Little Big Horn, w górach Bear Paw i w Wounded Knee.

Jutro, 26 czerwca 1992 roku, miją 17 rocznica współczesnej amerykańskiej tragedii, której konsekwencje odczuwamy do dziś. Tego letniego dnia w czerwcu 1975 w pobliżu Wounded Knee w rezerwacie Pine Ridge w Dakocie Pd. trzech młodych mężczyzn zginęło w strzelaninie, która miała miejsce w obozie na terenie gospodarstwa starca Oglalów, Harry’ego Jumping Bulla.

Trzech młodzi ludzie, którzy stracili życie tamtego dnia to: 27-letni Ronald Williams, 28-letni Jack Coler i 20-letni Joe Stuntz. Ronald Williams i Jack Coler byli agentami Federalnego Biura Śledczego (FBI). Joe Stuntz był członkiem plemienia Coeur d’Alene. Agent Coler i pan Stuntz pozostawili wdowy i po dwójce dzieci. Pan Williams był kawalerem, którego przeżyli rodzice i siostra. Dla rodzin i przyjaciół tych trzech ludzi czas nigdy nie zatrze uczucia tragicznej straty, które powraca zawsze, gdy rozważają co byłoby, gdyby do strzelaniny nie doszło.

Nigdy nie podjęto żadnych działań w celu wysunięcia kryminalnych oskarżeń związanych ze śmiercią Joe’go Stuntza. Natomiast śmierć dwóch agentów w rezerwacie Pine Ridge doprowadziła do największej obławy w historii FBI. O morderstwo oskarżono wtedy czterech Indian. Zarzuty przeciwko jednemu z nich (Jimmy Eagle) zostały przez rząd wycofane, a dwóch innych (Bob Robideau i Dino Butler) stanęło przed sądem i zostało przez ławę przysięgłych uniewinnionych. W sprawie tej przedstawiono obszerną dokumentację najnowszej historii działań federalnych sił przestrzegania prawa przeciwko działaczom rozmaitych tubylczych społeczności, a w szczególności Ruchu Indian Amerykańskich (American Indian Movement), założonego w Minneapolis w 1968.

Czwarty tubylczy Amerykanin uwikłany w śmierć federalnych agentów, Leonard Peltier, uciekł do Kanady w poszukiwaniu azylu politycznego i nie był sądzony przez

ławę przysięgłych, która w czerwcu 1976 (w Cedar Rapids, w stanie Iowa) uniewinniła jego dwóch towarzyszy. Po kontrowersyjnej ekstradycji (opartej na fałszywych zeznaniach, wymuszonych od Indianki, Myrtle Poor Bear) pan Peltier był sądzony w następnym roku przez innego sędziego i inną ławę przysięgłych gdzie indziej (w Fargo, w Dakocie Pn.), a z jego procesu wyłączono dokumentację, którą dopuszczono poprzednio. Uznano go winnym dwóch morderstw z premedytacją i skazano na dwa kolejne wyroki dożywotniego więzienia. Po blisko 20 latach sprawa „USA contra Peltier” wciąż przewija się przez nasz federalny system sądownictwa.

Liczne decyzje sądu apelacyjnego i analizy prawne wskazywały na niezbadane kwestie i pytania bez odpowiedzi, dotyczące aresztowania, śledztwa, skazania i uwięzienia Leonarda Peltiera. Powstały niedawno film dokumentalny *Incident at Oglala* (Incident w Oglala) rozbudził na nowo zainteresowanie publiczne tą sprawą. A nasz szanowny kolega, senator z Hawajów (Pan Inouye) i przewodniczący senackiej komisji do spraw Indian, ponad rok temu zwrócił się do Prezydenta z prośbą o możliwość spotkania i omówienia tej sprawy. W styczniu 1992 napisał do Prezydenta Busha nalegając, by przychylił się do prośby Przewodniczącego Inouye o kontakt. Z przykrością stwierdzam, że jego prośba pozostała bez odpowiedzi.

Najbardziej przekonujących argumentów dla poparcia rozważenia przez Prezydenta sprawy Leonarda Peltiera dostarczył zapewne sędzia Gerald W. Heaney z federalnego sądu apelacyjnego ósmego okręgu. Sędzia Heaney nie był jedynie doraźnym obserwatorem podstawowych faktów i kwestii prawnych związanych ze sprawą pana Peltiera. Był on autorem opinii z 1986 roku, odmawiającej Leonardowi Peltierowi prawa do nowego procesu i wchodząc w skład sądu apelacyjnego w 1984. W liście do senatora Inouye sędzia Heaney stwierdził:

Po pierwsze, rząd Stanów Zjednoczonych nadużył siły w Wounded Knee. Zamiast troskliwie rozpatrzyć uzasadnione skargi tubylczych

Amerykanów, odpowiedział głównie militarnie i doprowadził do śmiertelnej strzelaniny 26 czerwca 1975 roku między tubylczymi Amerykanami a agentami FBI i policją.

Po drugie, rząd Stanów Zjednoczonych musi podzielić odpowiedzialność z tubylczymi Amerykanami za strzelaninę z 26 czerwca. Była ona intensywna i zginęli w niej tak agenci rządowi, jak i tubylczy Amerykanin. Chociaż rola rządu w eskalacji konfliktu aż do strzelaniny nie może służyć jako prawne usprawiedliwienie zabicia agentów z bliskiej odległości, to może być rozważona jako okoliczność łagodząca.

Po trzecie, dokumenty przekonują mnie, że w strzelaninę do agentów FBI zaangażowana była więcej niż jedna osoba. Także i to nie jest prawnym usprawiedliwieniem działań Peltiera, ale stanowi okoliczność łagodzącą.

Po czwarte, FBI zastosowało złą taktykę w celu uzyskania ekstradycji Peltiera z Kanady, a także w śledztwie i procesie Peltiera. Chociaż nasz sąd zdecydował, że działania te nie stanowią podstawy do rewizji, to według mnie są to czynniki, które zasługują na uwagę w każdym wniosku o ulaskawienie.

Po piąte, Leonard Peltier był sądzony, został uznany winnym i skazany. W więzieniu federalnym spędził już ponad czternaście lat. Kiedyś musi rozpocząć się proces uzdrawiania. Jako naród musimy traktować tubylczych Amerykanów bardziej sprawiedliwie. Aby to uczynić, musimy uznać ich unikalną kulturę i wielki wkład w dzieje naszego narodu. Przychylnie działanie Prezydenta w sprawie Leonarda Peltiera byłoby ważnym krokiem w tym kierunku. Uważam, że decyzja taka zależy wyłącznie od Prezydenta. Przedstawiam po prostu swoje zdanie, oparte na dokumentach zaprezentowanych przed naszym sądem. Upoważniam Pana do przedstawienia tego listu Prezydentowi.

Wierzę, że sędzia Gerald W. Heaney, przedstawiając po prostu swój punkt widzenia w oparciu o dokumenty zaprezentowane przed sądem apelacyjnym ósmego okręgu, dokonał znaczącego aktu służby publicznej. Niezaprzeczalne w jego rzeczowej analizie tej złożonej sprawy jest uznanie, że chociaż wyrok w niej może pozostawać usprawiedliwiony w związku z ograniczonymi ramami analizy, narzuconej przez

poprzednie decyzje sądowe, to aby w sprawie Leonarda Peltiera mogła zatriumfować sprawiedliwość, konieczne jest mądre i współczujące zrozumienie wszystkich faktów i okoliczności, które doprowadziły do tej tragedii.

Istnieje szerszy kontekst historyczny, w oparciu o który życie setek przedstawicieli władz federalnych i tubylczych Amerykanów spłotło się przed siedemnastu laty w rezerwacie Pine Ridge. Uważam, że nasza niemożność zrozumienia tego kontekstu i stałe odrzucanie przez rząd federalny – według słów sędziego Heaneya – współodpowiedzialności z tubylczymi Amerykanami za strzelaninę z 26 czerwca, to podstawowe przyczyny, dla których międzynarodowa uwaga i odradzające się zainteresowanie publiczne w kraju nie pozwolą tej sprawie odejść w niepamięć.

W latach prowadzących do powstania Ruchu Indian Amerykańskich w 1968 roku na Północnym Zachodzie, a szczególnie w stanie Waszyngton, miało miejsce szereg istotnych kontrowersji społecznych związanych z Indianami, a dotyczących ich traktatów praw rybackich. Miejsca takie, jak Przystań Franka (Frank's Landing) na rzece Nisqually i Przystań Cooka (Cook's Landing) na rzece Columbia nabrały w walce o podstawowe prawa człowieka historycznego znaczenia, porównywalnego z Selmą w Alabamie i Little Rock w Arizonie. Działania stanowych agencji przestrzegania prawa i urzędników stanowych została później następująco opisana przez sąd apelacyjny dziewiątego okręgu: „Niezależnie od szeregu spraw związanych z segregacją (cytaty pominęto), sąd okręgowy zetknął się z najbardziej rozmyślnie planowanymi w tym stuleciu wspólnymi ofiarnymi i prywatnymi wysiłkami w celu podważenia decyzji sądu federalnego (który potwierdził traktatowe prawa Indian do tradycyjnych połowów ryb).”

Wielu amerykańskich Indian z Północnego Zachodu, reagując na gwałt stosowany wobec nich podczas demonstracyjnych połowów (tzw. *fish-ins*), zaakceptowało bojową postawę, podobną do przyjętej wów-

czas przez inne grupy mniejszościowe, w tym przez Czarne Pantery wśród Afroamerykanów i Brązowe Berety w społeczności Chicano. Po zajęciu w 1969 roku przez tubylczych aktywistów wyspy Alcatraz, w 1970 nastąpiła podobna okupacja Fortu Lawton w Seattle pod przywództwem grupy nazywającej się „Zjednoczeni Indianie Wszystkich Plemion”.

Później, w październiku 1972 roku zajęta została szkoła z internatem na Beacon Hill, z której postanowiono utworzyć centrum rosnącej w Seattle populacji hiszpańskiej i którą nazwano „El Centro de la Raza”. Rozwijający się ruch na rzecz praw mniejszości w Seattle zwrócił uwagę agencji przestrzegania prawa na szczeblu lokalnym i federalnym, które zbyt często traktowały takie działania jako niepatriotyczne, wywrotowo antywojenne i skierowane przeciwko zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych w Wietnamie.

Leonard Peltier spędził wiele młodych lat w społeczności Indian miejskich w Seattle. Pod koniec lat sześćdziesiątych był właścicielem warsztatu samochodowego, nad którym znajdował się nieformalny ośrodek spotkań tubylczych Amerykanów, niedawno przybyłych do miasta. Jego osobiste zainteresowanie i późniejsze zaangażowanie w odradzającą się walkę o ochronę praw Indian były wynikiem obserwowania przez niego w tamtych latach starć między oplerającymi się na postanowieniach traktatów rybakami i władzami stanowymi na Przystaniach Franka i Cooka.

Pan Peltier był jednym z aresztowanych podczas okupacji Fortu Lawton. Później, w październiku i listopadzie 1972, wziął udział w Szlaku Złamanych Traktatów. Ten głośny marsz protestacyjny przez cały kraj z Seattle do Waszyngtonu zakończył się, tuż przed wyborami prezydenckimi, zajęciem siedziby Biura do Spraw Indian w Waszyngtonie. Po płodniowej okupacji Ruch Indian Amerykańskich został uznany przez FBI za organizację ekstremistyczną, a 8 stycznia 1973 FBI dopisało przywódców Szlaku Złamanych Traktatów do listy kluczowych ekstremistów. Szko-

lom AIM w St. Paul, Minneapolis i Milwaukee cofnięto – przywrócone później nakazem sądowym – federalne fundusze do walki z ubóstwem.

Począwszy od 1972 życie agenta Ronalda Williamsa i Leonarda Peltiera toczyło się zadziwiająco zbliżonymi torami, które przecięły się w gospodarstwie Jumping Bulla 26 czerwca 1975 roku. Po ukończeniu Koledżu Stanu Kalifornia w Los Angeles, w 1965 pan Williams został pracownikiem biurowym FBI, a następnie wstąpił do Armii, gdzie służył jako specjalista łączności od 1966 do 1969, uzyskując stopień sierżanta. Po zakończeniu służby wojskowej pan Williams powrócił do służby w Los Angeles i w kwietniu 1972 został agentem specjalnym. W 1972 został skierowany do biura terenowego FBI w Seattle, w 1973 przeniesiono go do Minneapolis, a w chwili śmierci służył jako agent stacjonujący w Rapid City, w Dakocie Pd.

Nigdy nie zbadano w pełni rozmiarów, w których biura FBI w Seattle, Minneapolis i Rapid City pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych aktywnie zajmowały się działalnością członków Ruchu Indian Amerykańskich oraz coraz bardziej bojową działalnością w obronie praw traktatowych innych tubylczych Amerykanów z tych miejscowości. Na nieszczęście, nasz rząd federalny do dziś nie zgadza się na ujawnienie tysięcy stron dokumentów, o które ubiegala się obrona w sprawie Peltiera. Wiele z tych dokumentów mogłoby rzucić dodatkowe światło na przyczyny, dla których, jak napisał sędzia Heaney, rząd Stanów Zjednoczonych nadużył siły w Wounded Knee. Zamiast troskliwie rozpatrzyć uzasadnione skargi tubylczych Amerykanów, odpowiedział głównie militarnie i doprowadził do śmiertelnej strzelaniny 26 czerwca 1975 roku pomiędzy tubylczymi Amerykanami a agentami FBI i policją."

Jeśli Prezydent Bush nie jest skłonny spotkać się z Przewodniczącym Inouye i rozważyć szersze i bardziej generalne rozwiązanie w tej sprawie, to mam jednak nadzieję, że zaleci prokuratorowi generalnemu, Barrowi i dyrektorowi FBI, Session-



sowi ujawnienie wszystkich dokumentów dotyczących „śledztwa RESMURS” (w sprawie morderstw w rezerwatach – Red.) oraz wszystkich dokumentów dotyczących Ruchu Indian Amerykańskich od 1968 roku aż do daty procesu Leonarda Peltiera.

Niedawne odwołanie się rządu od decyzji sądu niższej instancji, nakazującej ujawnienie 54-stronicowego dokumentu, otrzymanego przez FBI od władz Dakoty Pd. jest tu dobrym przykładem. Zniszczenie różnych taśm i indeksów komputerowych oraz powoływanie się na względy bezpieczeństwa narodowego przy odmowie ujawnienia dokumentów w 17 lat po wydarzeniach, których one dotyczą, budzą poważne wątpliwości co do rządowych intencji ujawnienia kiedykolwiek całej prawdy o incydencie w Oglala. Mam nadzieję, że senacka komisja sprawiedliwości rozważy możliwość przesłuchań w celu zbadania całego postępowania rządu wobec Ruchu Indian Amerykańskich przed, podczas i po procesie Leonarda Peltiera.

Mówiąc wprost, rosnące zainteresowanie publiczne ujawnieniem wszystkich faktów dotyczących sprawy Leonarda Peltiera nie zniknie. „Amnesty International” uważa pana Peltiera za więźnia politycznego,

a blisko 20 milionów Europejczyków – w tym wielu Rosjan – podpisało petycję z prośbą o jego ułaskawienie. Uznali przywódcy światowi, tacy jak arcybiskup Canterbury i południowoafrykański arcybiskup Desmond Tutu, zajęli się jego sprawą, a hiszpańska Komisja Praw Człowieka przyznała Leonardowi Peltierowi w 1986 roku Międzynarodową Nagrodę Praw Człowieka. Kiedy przedstawiciele naszego rządu podnoszą kwestie nadużyć praw człowieka w rozmowach z partnerami z innych krajów, często pytani są: „A co ze sprawą Leonarda Peltiera w naszym kraju?”

Dla rodzin, przyjaciół i agentów Federalnego Biura Śledczego, którzy wciąż cierpią z powodu straty agentów Ronalda A. Williamsa i Jacka R. Colera, ich śmierć na służbie zyskała im szacunek i trwałą pamięć jako o bohaterach w służbie FBI. Ci zaś, którzy czczą pamięć Joego Stuntza będą zawsze pamiętać go jako młodego tubylczego Amerykanina, który nie wahał się zaryzykować życia, wspierając prawa tradycjonalistów z rezerwatu Pine Ridge, daleko od własnych ziem na Północnym Zachodzie.

Pisarz Peter Matthiessen w książce *In the Spirit of Crazy Horse* (W duchu Szalonego Konia) dobrze oddał dylemat, przed którym staje wielu z nas badając przyczyny, zagadkowe fakty i pytania bez odpowiedzi, które otaczają ten epizod naszej historii, pisząc: Wydarzenia z 26 czerwca 1975 roku przedstawiano z czasem w jasnych dumnych kolorach Szalonego Konia i dni chwały Lakotów, podczas gdy to, co zdarzyło się w Oglala nie było wcale chwalebne, ale smutne i brzydkie. Trzech młodych mężczyzn straciło życie, a lista śmiertelnych ofiar wciąż rosła, nie licząc tych, którzy przetrwali, ale których życie zostało zatrute i splamione.

Z drugiej strony, sprawa Peltiera – tak jak sprawa Sacco i Vanzettiego – miała historyczne uwarunkowania, które sięgały daleko poza to, co wydarzyło się w Oglala. Agencje federalne podsycaly konflikt między grupami Indian, tradycyjni Indianie walczyli o przetrwanie, zaś w świetle tych średniowiecznych lat w Pine Ridge, mówienie o winie lub niewinności za

nieuniknioną strzelaninę wydaje się być nie na miejscu: niezależnie od tego, czy Leonard Peltier zabił agentów, czy nie – zasłużył na nowy proces nie tylko ze względu na nieprawidłowe postępowanie w Vancouver, Fargo i Los Angeles, ale także z powodu coraz to nowych dowodów na to, że władze pragnęły usunąć go z drogi niezależnie od jego winy.

Podsumowując moje dzisiejsze uwagi w Senacie, powrócę raz jeszcze do głębokiego komentarza sędziego Heaneya, który stwierdził: Kiedyś musi rozpocząć się proces uzdrawiania. Jako naród musimy traktować tubylczych Amerykanów bardziej sprawiedliwie. Aby to uczynić, musimy uznać ich unikalną kulturę i wielki wkład w dzieje naszego narodu.

Z przyjemnością informuję Senat USA, że na Północnym Zachodzie, łącznie z moim stanem Waszyngton, to uzdrawianie już się rozpoczęło.

Na Przystani Franka nad rzeką Nisqually honorowe miejsce nad brzegiem zajmuje stare, wydłubane w cedrze kanu. Skonfiskowane na początku lat siedemdziesiątych podczas demonstracyjnego polowania ryb (*fish-in*) kanu zostało kilka lat temu zwrócone jego prawowitemu właścicielowi przez departament myślistwa stanu Waszyngton. Właściciel kanu, Bill Frank, Jr. nie jest już prześladowany, aresztowany, więziony i nazywany renegatem przez stróżów prawa, lecz jest uznanym w kraju przywódcą wspólnego wysiłku na rzecz przywrócenia wędrówek lososia wszystkim mieszkańcom stanu. W uznaniu dla swojej pracy Bill Frank został ostatnio odznaczony przez Uniwersytet Johna Hopkinsa prestiżową Nagrodą Alberta Schweitzera.

Na terenie znanym kiedyś jako Fort Lawton, gdzie aresztowano niegdyś Leonarda Peltiera i ponad stu innych tubylczych Amerykanów, stoi dziś wspaniały budynek Indianińskiego Centrum Kulturalnego Gwiazdy Porannej (Daybreak Star Indian Cultural Center), Bernie Whitebear, Indianin Colville, który przewodził kiedyś okupacji, jest dziś szefem Fundacji Zjednoczonych Indian Wszystkich Plemion (United Indians of All Tribes Foundation),

Jedną z wielu organizacji, służących społeczności blisko dwudziestu tysięcy tubylczych Amerykanów i Alaskajczyków z Seattle.

El Centro de la Raza na Beacon Hill w Seattle zyskało za swoją pracę długą listę pochwał, w tym niedawne mianowanie przez Prezydenta Busha jednym z „tysiąca jasnych punktów”. Seattle Municipal League uhonorowała w ubiegłym tygodniu kierownika El Centro, Roberto Maestasę prestiżową Nagrodą Wybitnego Obywatela Roku. Od 15 lat w El Centro de la Raza ma swoją siedzibę grupa poparcia Leonarda Peltiera, która kontynuuje wysiłki na rzecz jego uwolnienia.

Najlepszym, być może, przykładem tego uzdrawiania, do którego nawołuje sędzia Heaney, było spotkanie gubernatora stanu Waszyngton z reprezentantami wszystkich traktatowych plemion stanu w celu podpisanie umowy stulecia, ogłaszającej początek nowej ery międzyrządowej współpracy stanu i plemion.

Pomimo tych przykładów uzdrawiania historycznych stosunków naszego Narodu z tubylczymi Amerykanami, sprawa Leonarda Peltiera pozostaje nierozstrzygnięta i niezakończona. Jest to jeden z głównych powodów, dla których 17 stycznia 1992 roku napisałem do Prezydenta, wspierając prośbę Przewodniczącego Inouye o spotkanie w celu omówienia tej sprawy. Pisałem wtedy do Prezydenta: „Nasz kraj rozpoczął rok uznania i refleksji nad 500 rocznicą podróży Krzysztofa Kolumba. Wiem, że wielu tubylczych Amerykanów oraz tysiące Amerykanów, których przodkowie podążyli na te ziemie śladem Kolumba, doceniłoby Pańskie zainteresowanie sprawą Leonarda Peltiera.”

Mam nadzieję, że poglądy sędziego Geralda Heaneya, łącznie z głębokimi uwagami Senatora Inouye, skłonią Prezydenta do wzięcia pod uwagę zdania milionów ludzi z całego świata, którzy uważają, że już najwyższy czas, by uwolnić Leonarda Peltiera i rozpocząć uzdrawianie. □

Tłumaczenie Marek NowoCIEN

Siedzący Byk Geronimo Leonard Peltier...

Dziś [26 czerwca 1995] w Rzymie pięćset osób podejmie głodówkę. W Waszyngtonie ludzie będą się modlić i demonstrować. W małym biurze Komitetu Obrony w Leavenworth (stan Kansas) telefon będzie dzwonił i dzwonił...

Wszystko to dla Leonarda Peltiera, kontrowersyjnego, najbardziej znanego i wpływowego Indianina, a także więźnia, oskarżonego o zabójstwo.

Dziś po południu przypada 20 rocznica śmierci dwóch agentów FBI, za co pociągnięto do odpowiedzialności Leonarda Peltiera, który ostatnie 18 lat swego życia spędził w więzieniu.

W maju br. odrzucono jego ostatnią apelację, ale przygotowywana jest już następna. Podejmowane są też wysiłki nakłaniające prezydenta Billa Clintona do skorzystania z prawa łaski.

– Wiem, że kiedyś powiedziałem, iż zabiłem tych chłopców – przyznał 50-letni Peltier w ostatnim wywiadzie. – Mówiłem to jednak w gniewie. Nie zabiłem tych agentów. Nie zrobiłem tego, nie mógłbym tego zrobić.

Leonard Peltier jest znany w całym świecie. Jego sprawą interesowała się Amnesty International. Niektórzy historycy przepowiadają, że w przyszłości Peltier będzie traktowany na równi z Siedzącym Bykiem i Geronimo.

– Leonard Peltier stał się prawie postacią kultową – powiedział Tahunska Tanka, historyk i profesor Instytutu Badań Indian Amerykańskich z Południowej Dakoty. – Nigdy nie powiem, że jest dobrym przykładem dla dzieci w rezerwatach, ma jednak znaczenie symboliczne: bojownik o wolność, symbol walki współczesnych Indian.

Spekuluję się, że to FBI stworzyło „sprawę” Peltiera w celu zniszczenia radykalnego Ruchu Indian Amerykańskich (AIM). Nawet ci, którzy byli mu bliżsi, przyznają, że Ruch stracił coś ze swej znakomitości.

– Im dalej od Południowej Dakoty i sprawy Peltiera, tym silniejsze jest jego poparcie – powiedział Frederic Alan Maxwell, pisarz, który przez pięć miesięcy pracował z Peltierem nad nową książką. – Odszedłem od niego ze straszną goryczą. Mimo tego wszystkiego, co można o nim przeczytać, Leonard jest niejednoznaczny postacią; nie jest święty.

Tim Giago, wydawca i redaktor Indian Country Today, największej gazety Indian w Stanach Zjednoczonych stawia sprawę bardziej bezpośrednio: „Leonard Peltier jest mordercą”.

Przed ukazaniem się w 1980 roku książki *In the Spirit of Crazy Horse* Peltier był stosunkowo mało znany. Peter Matthiessen bronił w niej Leonarda i oskarżał FBI o prowadzenie konspiracyjnych działań przeciwko Indianom. Książka ta nakłoniła znanego aktora, Roberta Redforda do nakręcenia dokumentalnego filmu *Incident at Oglala*. Zarówno w książce, jak i w filmie, Leonard Peltier ukazany został jako symbol długotrwałego ucisku Indian amerykańskich.

Artykuł zamieszczony na łamach „The Gazette” (Montreal).



„Leonard Peltier jest mordercą”

Muszę przyznać, że brakowało mi takiego oświadczenia i wcale mnie ono nie dziwi, ani obraża moich uczuć. Dobrze, że pada z ust znakomitego publicysty Słuksów, Tima Giago, którego felietony ukazują się na łamach „Indian Country Today”, gazety wydawanej w Dakocie Południowej, gdzie doszło do strzelaniny w 1975 roku.

Trudno dziś sobie wyobrazić współczesny ruch Indianiński bez postaci Leonarda

Peltiera. Istotnie, pełni on rolę walczącego symbolu. Jego nieustanne apelacje przyciągają wielu ludzi, którzy dobrowolnie poświęcają mu swój czas, pieniądze i energię. Dzięki temu, sprawy tubylców w całych Stanach Zjednoczonych zostały mocno posunięte do przodu. Choć już skończyła się epoka spektakularnych demonstracji (ostatnio po ten środek sięgnęli kanadyjscy Mohawowie z Oka w 1990 roku), tubylcy amerykańscy mogą pochwalić się znacznymi osiągnięciami, właściwie w każdej dziedzinie życia społecznego i kulturalnego. Nie byłoby tych osiągnięć, to trzeba przyznać uczciwie, bez AIM i bez jego słynnych przywódców: Dennisa Banksa, Russella Meansa, braci Bellecourtów, Johna Trudella i Leonarda Peltiera, nieważne jak potoczyły się ich dalsze koleje życia i kariery.

Leonard Peltier skupia wokół siebie sporo ludzi dobrej woli, jak również niezłą grupkę karierowiczów, którzy chcą jego kosztem zbić swój własny biznes. Właściwie nie ustają spory, kto rzeczywiście pomaga Leonardowi, a kto tylko odcina kupony od jego sławy. Dla wielu członków Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian, pamiętających dramatyczne artykuły prasowe i apele o pomoc, słane przez Komitet Obrony Leonarda Peltiera (LPDC), rozgrywki wewnątrz AIM mogą trochę gorszyć, ale to prawda. Tak dzieje się zawsze z przywódcami, którzy wyrastają ponad grupę – jaka ich wybrała – i robią karierę na własną rękę. Wokół podziału AIM krąży wiele plotek i wzajemnych oskarżeń, trudno więc zająć obiektywne stanowisko, nie śledząc tych spraw na bieżąco. Bardzo łatwo bowiem o pomówienie, o skrzywdzenie ludzi, których intencje mogą okazać się naprawdę szlachetne. Może wystarczy poprzestać na stwierdzeniu, że zmienia się Indiańska Ameryka, że zmieniają się główni aktorzy i że Leonard Peltier, który prawdopodobnie spędził w więzieniu resztę swego życia, będzie nadal odgrywał kluczową, ale i kontrowersyjną rolę we współczesnym ruchu Indianińskim. □

Marek Maciolek

Na krótko przed zbliżającym się referendum o niepodległość prowincji Quebec, stosunki między białymi i tubylcami – nazywanymi Pierwszymi Narodami – są ciągle jeszcze napięte, szczególnie w aglomeracjach miejskich. Ludność tubylcza w Quebecu zdecydowanie przeciwstawia się podziałowi Kanady, uzasadniając swe nastawienie tym, że plan oddzielenia się prowincji Quebec od reszty kraju powstał bez udziału i zgody Indian. Prowincji z trudem przychodzi przyznanie innym kulturom tych praw, o które kiedyś sama walczyła.

Philippe Bovet

Co się stanie z Pierwszymi Narodami?

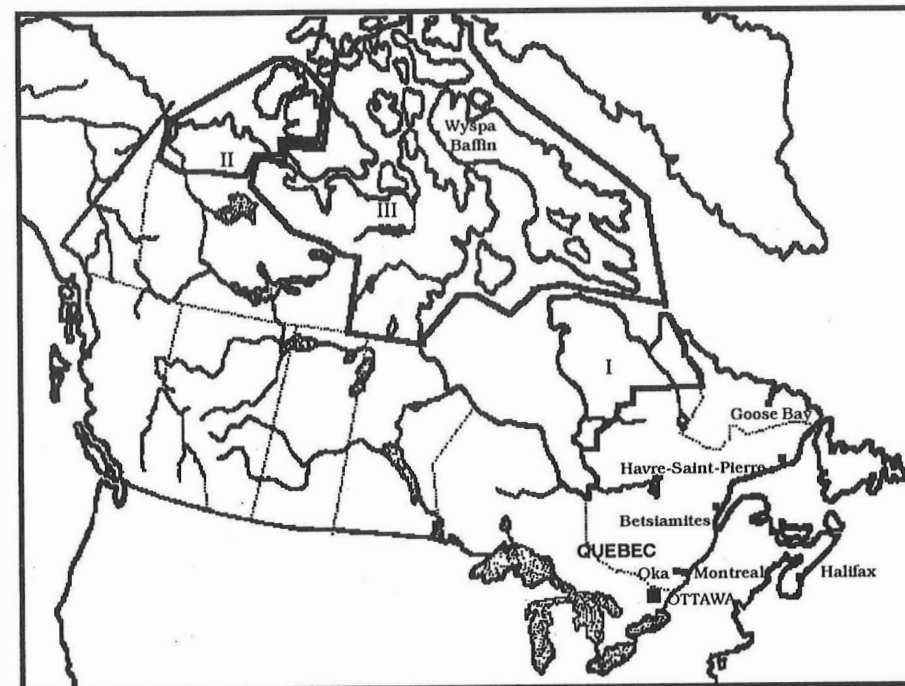
Do lipca 1990 roku wioska Oka, położona trzydzieści kilometrów na zachód od Montrealu znana była co najwyżej z sera i pasztetów, jakie wyrabiano w pobliskim klasztorze trapistów. Właśnie wtedy, licząca tysiąc osiemset mieszkańców gmina postanowiła powiększyć swoje pole golfowe, a tym samym bezceremonialnie wywłaszczyć grupę Indian z plemienia Mohawków, która żyła na skraju wioski. Na skutek tego Indianie zdecydowali się walczyć o uznanie swoich niezbywalnych praw i zablokowali trasę tranzytową nr 334 i Most Merciera, jedno z głównych połączeń z Montrealem, paraliżując tym osadę. Konflikt trwał 78 dni, a do jego zażegnania użyto trzy tysiące żołnierzy armii kanadyjskiej. W samej wsi Oka doszło do zbrojnych zamieszek, w wyniku których zginął jeden policjant.

Choć porzucono plan powiększenia pola golfowego w Oka, członkowie plemienia Mohawk są ciągle jeszcze narażeni na gniew białej ludności. Żyją oni na granicy prowincji Quebec i Ontario, skąd niedaleko również do stanu Nowy Jork w USA. Jest to jeden z najzamożniejszych regionów w całej Ameryce Północnej.¹ Mohawko-

wie wykorzystują to i bez wahanía czerpią korzyści z różnic między dwoma systemami podatkowymi, kupując towary po amerykańskiej stronie granicy i sprzedając je po stronie kanadyjskiej. W USA kupowano przede wszystkim papierosy za pół ceny i sprzedawano je z zyskiem w Kanadzie. Proceder ten ciągnął się do lutego 1994 roku, kiedy to Ottawa zdecydowała się na radykalną obniżkę celi na wyroby tytoniowe, co sprawiło, że przemysł przestał się opłacać.

Paul Charest, profesor etnologii na Uniwersytecie Laval w Quebec, w taki oto sposób opisuje zaistniałą sytuację: – Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, aby biali dotrzyмали umowy zawartej z ludnością tubylczą. Dla niektórych Mohawków kwestia formalnej granicy między Kanadą i Stanami Zjednoczonymi pozostaje wyłączną sprawą białych; Mohawkwie dbają o własne interesy i nic więcej ich nie obchodzi.

Tubylcze ludy Kanady nie są zbyt dobrze znane. Nierzadko ich przedstawiciele sprowadza się do roli ludzi żyjących z pomocy socjalnej. Mówi się o nich „pijacy”, „lenie” i „wyzyskiwacze” w przekonaniu, że tubylcy stanowią tylko ciężar dla państwa. Uważa się, że Indianie nie płacą ani podatków, ani innych należności. Nieprawda! Niektórzy twierdzą, że Indianie żyjący w rezerwach nie opłacają ani czynszu, ani energii elektrycznej. To również nieprawda!



Układy o autonomii z ludem Inuit:

- I – Nunavut (nieleśce, gdzie jest ziemia) podpisany w 1976 roku.
- II – Inuvialuitland (ziemia Inuvialuitów) podpisany w 1984 roku.
- III – Nunavut (nasza ziemia) podpisany w 1993, wejdzie w życie 1 kwietnia 1999 roku.

– Dopóki tubylcy pomagali białym odkrywać ten kraj, byli traktowani jak przyjaciele – komentuje Paul Charest. – Dzisiaj, kiedy stoją przed bramami metropolii, przeszkadzają. Dużo chętniej idealizuje się ich i przedstawia jako szlachetnych dzikusów, żyjących na dalekiej Północy myśliwych i rybaków.

Przez całe życie wywłaszczani i wypędzani

W Betsiamites, nad brzegiem rzeki Św. Wawrzyńca żyje dwa tysiące przysiadków plemienia Montagnais. Z jednej strony dociera szum rzeki, która ma tu szerokość 30 km, a z drugiej – tajemnice głębokiego lasu, podzielonego przez słupy wysokiego napięcia.

– Mamy za sobą życie pełne wywłaszczeń – mówi Marcelline Kanapé, przewodnicząca Rady Plemienia. – Zapory wodne, spustoszenia dokonane przez przemysł górniczy, kwaśne deszcze, wyrąb lasów dla przemysłu paplarniczego – wszystkie te czynniki wywarły głęboki wpływ na naszą tysiącletnią kulturę.

Mimo to Marcelline Kanapé jest zadowolona poczynaniami koncernu energetycznego Hydro-Quebec², która decyduje się zahamować rozwój roślin wyrastających pod przewodami wysokiego napięcia za pomocą chemikaliów rozpylanych z samolotów. Mieszkańcy rezerwatu, który zajmuje

1. W pobliżu rzeki Św. Wawrzyńca żyje 60% ludności Kanady. Strefa wokół rzeki nazywana jest korytarzem gospodarczym. Ciągnie się ona od Montrealu do Toronto. Na tym obszarze wytwarza się około 55% produktu krajowego brutto Kanady.

2. Firma Hydro-Quebec jest własnością prowincji Quebec. Przedsiębiorstwo to opracowało projekt zapory w Zatoce Jamesa. Jest to największy na świecie projekt wykorzystania energii wodnej.

powierzchnię 255 km², żyją nadal z polowań i zbieractwa. Rozpylane środki chemiczne wnikają bez przeszkód do zbieranych przez Indian owoców ziemi. Lecz jaką mają wartość obawy niewielkiej grupy tubylców wobec argumentów inżynierów i techników, którzy marzą o dużych zyskach z eksportu energii elektrycznej do Stanów Zjednoczonych?

Droga numer 138 prowadzi wzdłuż północnej strony rzeki Św. Wawrzyńca aż do portu Havre-Saint-Pierre, który jednocześnie jest ośrodkiem przemysłu górniczego. Stąd odległość do Betsiamites wynosi czterysta kilometrów z prądem rzeki. Za Havre-Saint-Pierre znajdują się tylko dwa odcinki drogi, które nie są ze sobą połączone i co kilkaset metrów przedziela je gęsty las. Las o zmiennej szerokości 50 lub 100 kilometrów rozciąga się aż do półwyspu Labrador. Projekt, który pociągnie za sobą koszty wynoszące dwa miliardy dolarów kanadyjskich, przewiduje rozbudowę obu niedokończonych odcinków trasy i połączenie Montrealu z Labradorem. Zwolennicy tego pomysłu podkreślają znaczenie takiego połączenia dla turystyki. Innu³ postanowili zniweczyć te plany, gdyż ich zdaniem samochód nie powinien zajmować centralnej pozycji w hierarchii wartości.

– Dzisiejszy świat uległ całkowitemu zepsuciu – oświadczyła Lyla Andrew, która odpowiada za sprawy socjalne wspólnoty Innu w Sheshatshit. – Biały człowiek czuje się we wszystkich stolicach świata jak u siebie w domu, czego nie można powiedzieć o żadnym Innu. Domem Innu są jego lasy.

Ten tubylczy naród ciągle broni się przed tym, by samoloty startujące z wojskowej bazy w Goose Bay latały na wysokości zaledwie trzydziestu metrów nad ziemią. Odrzutowe myśliwce NATO, należące przede wszystkim do niemieckich, brytyjskich i holenderskich sił powietrznych, ćwiczą na ziemi Innu. Każdego roku

odbywa się tutaj około 10 000 lotów na niskiej wysokości, a każdy trwa od 60 do 90 minut.

– Biali i Innu zupełnie nie potrafią się porozumieć. Dla NATO Labrador jest tylko dużym, niezamieszkanym i rzadko zaludnionym poligonem. Z ich punktu widzenia nie zachodzą tutaj żadne długotrwałe zmiany środowiska naturalnego. Ci biali, którzy tutaj pracują, zostają tylko na kilka lat, nim zostaną skierowani gdzieś indziej – uzupełnia Lyla Andrew.

W całej Kanadzie wspólne życie ludności tubylczej i białej pełne jest napięć. Sytuacja w Quebecu jest jeszcze bardziej paradoksalna niż w pozostałych częściach kraju. Kulturowa i językowa odrębność tej prowincji została uznana w 1969 roku. Jednocześnie jednak władze Quebecu mają trudności z przyznaniem takich samych praw do kulturowej odrębności innym mniejszościom, żyjącym na tym terenie. Nie należy przy tym zapominać, że ludność Kanady stanowią trzy grupy: rozproszona po całym kraju ludność tubylcza, osiedleni przede wszystkim w Quebecu Franko-Kanadyjczycy i ludzie, którzy nie należą do żadnej z wymienionych wyżej grup, zamieszkujący pozostałe prowincje.

– Kanadyjski statek płynie pod tymi trzema banderami – wyjaśnia Rémi Savard, etnolog na Uniwersytecie Montrealu. – Trzecia bandera próbuje przeforsować coraz większe kompetencje rządu federalnego, podczas gdy z tego powodu od stu lat rośnie niezadowolenie dwóch pozostałych flag. Obie te grupy mniejszościowe powoli ogarnia już zwątpienie, kiedy widzą, do jakiego stopnia ich wolność polityczna jest ograniczona przez kanadyjskie instytucje.

Na pytanie, dlaczego władze Quebecu nie rozwinęły do tej pory żadnej polityki wobec mniejszości, Rémi Savard odpowiada następująco: – Fakt, iż obie grupy mniejszościowe są niezadowolone z polityki wewnętrznej kraju i roszczą sobie prawa do tego samego terytorium spowodował, że mniejszości te nie jednoczą się, ale postępują się wzajemnie jako konkurencję.

Podobne konflikty są możliwe tylko w Quebecu. Występujące tutaj trudności w porozumieniu się między mniejszościami można by zinterpretować jako chorobliwy objaw – gdyż mniejszości nie są w stanie sobie wyobrazić, że istnieją takie struktury polityczne, które umożliwiają istnienie pluralizmu. Na to, iż Kanada nie ma żadnego pomysłu na pluralizm, Quebec reaguje w najbardziej wrażliwy sposób – dodaje na koniec Savard.

Miesięcznik „National Geographic” wyraził w październikowym numerze z 1993 roku wątpliwości co do polityki firmy Hydro-Quebec, której osłarą stali się Indianie z plemienia Kri:

„Cały konflikt rozgrywa się w tak bardzo odległej i rzadko zaludnionej okolicy, że Hydro-Quebec zdaje się nie uznawać konieczności konsultowania swych poczynań z ludnością tubylczą na tym terenie. Przedstawicielom firmy z pewnością wydało się, że Indianie uznają projekt zapory wodnej za triumf techniki, podczas gdy Kri obawiają się, iż stanowi on zagrożenie dla ich dotychczasowego trybu życia.”

Reakcja ówczesnego Przewodniczącego do Spraw Indian prowincji Quebec była jednoznaczna: „Kri muszą przestać działać na szkodę prowincji”.

Inuit Winston White urodził się na Wyspie Baffina (Terytorium Północno-Zachodnie). Gdy osiągnął wiek szkolny, wysłano go do internatu w Nowej Fundlandii, ponad dwa tysiące kilometrów na południe. Winston musiał pokonać tę odległość łożą.

– Do domu jeździłem tylko latem. Czuliśmy się rozdarty pomiędzy dwiema kulturami, nie należałem do białych, ale nie rozumiałem też zbyt dobrze moich ludzi – wspomina.

W wieku pięćdziesięciu trzech lat Winston White stara się udoskonalić swoją znajomość Inuktitut, języka Inuitów. Pracuje również jako moderator anglojęzycznych programów w Radio Canada Nord. Wkrótce ma zamiar prowadzić programy w swoim ojczystym języku. Przebieg kariery Winstona White'a można porównać do

historii powstania Nunavut, które 1 kwietnia 1999 roku stało się trzecim terytorium Kanady (obok Terytorium Yukon i Terytorium Północno-Zachodniego). Tego dnia obszar liczący ponad 2 mln km² zostanie oddzielony od Terytorium Północno-Zachodniego i oddany pod zarząd ludności tubylczej. W języku Inuktitut słowo *Nunavut* oznacza tyle, co „nasza ziemia”.

Po raz pierwszy w historii Kanady interesy jakiegoś regionu będą reprezentowane przez zamieszkałych na nim tubylców.

„Rząd federalny zyska sobie dzięki temu większą przychylność obywateli – przypuszcza André Légaré w swoim szkicu dotyczącym Inuitów. – Flasko poprzednich konferencji (pomędzy rządem w Ottawie, prowincjami i wodzami plemion tubylczych) i spór z Mohawkami w Oka udowodniły włodzącym politykom, iż muszą oni poprawić swoje stosunki z Pierwszymi Narodami.”

Rozmowy, które ostatecznie doprowadziły do utworzenia Nunavut, trwały 18 lat... John Amagoalik, jeden z głównych uczestników tych rozmów przyznaje, że „przebudzenie Kanady zawdzięczamy Mohawkom, bez względu na to, czy zgadzamy się z ich metodami walki i użyciem przez nich broni, czy nie”.

Zapytany o sytuację w Quebecu, John Amagoalik odpowiada: – Jeżeli ludność zamieszkująca południową część prowincji zadeklaruje niepodległość bez porozumienia z tubylcami mieszkającymi na północy, może dojść do konfliktów.

– Ludź tubylcze będą się energicznie przeciwstawiać wszelkim próbom oddzielenia prowincji Quebec od reszty Kanady – dodaje w podobnym tonie Ghislain Picard, przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN), oddział Quebec.

Z niemieckiego przetłumaczyła
Małgorzata Głowiana

3. Innu, nazywani też Montagnais-Naskapi, zamieszkują część półwyspu Labrador i północny Quebec. Nie należy ich mylić z Inuitami (Eskimosami). Wspólnota Innu w Sheshatshit, 50 km na północ od Goose Bay, liczy oficjalnie 887 osób.

Powyższy tekst ukazał się w lipcu br. w magazynie „Le Monde Diplomatique”, którego niemiecka wersja stanowi comiesięczny dodatek do czasopisma „Die Tageszeitung”.

Indianie przeciwni eksperymentom genetycznym

Tubylczy przywódcy reprezentujący siedemnaście ogólnokrajowych i regionalnych organizacji z obu Ameryk odbyli w kwietniu 1994 roku spotkanie, którego rezultatem była deklaracja sprzeciwu wobec manipulacji genetycznym na wszystkich formach życia.

Przywódcy reprezentujący narody Indianiśskie z Kanady, USA, Panamy, Ekwadoru, Peru, Boliwii i Argentyny spotkali się w rezerwacie Gila River O'Odan w Arizonie w odpowiedzi na zamierzenia zachodnich badaczy zebrania i opatentowania 722 próbek genetycznych różnych tubylnych ludzi.

Danny Billie z florydzkiego Suwerennego Tradycyjnego Narodu Indian Seminole powiedział:

– Biali ludzie próbują odgrywać rolę boga. Jeśli zrobić, to co chcą, wpłynęło to na zniszczenie życia ludzi, owadów, roślin i zwierząt. Sądzę, że mogą uniknąć tego, ale również i oni będą cierpieć z wynikających z tego konsekwencji.

– Genetyczne manipulacje podważają poważnie etyczne i moralne rozumienie świętości życia. Badacze prowadzący genetyczne manipulacje istniejących form życia zmieniają bieg naturalnej ewolucji i tworzą nowe formy życia. Dla tubylnych ludności jakiegokolwiek naruszenie naturalnego porządku życia jest odczuciem czegoś niestosownego – stwierdziła koordynatorka spotkania, Debra Harry.

Hopi nie chcą kasyna

Kykotsmowi, Arizona – Indianie Hopi, jedno z najbardziej tradycyjnych plemion, przegłosowali w połowie kwietnia propozycję budowy kasyna na ich ziemi koło Painted Desert.

Członkowie plemienia opowiedzieli się stosunkiem głosów 986 do 660 przeciwko

budowie kasyna w Winslow przy autostradzie międzystanowej nr 40, którą przejeżdżają dziennie tysiące automobilistów, przekraczając północną Arizone.

– Było to głośne i wyraźne przesłanie, że kultura jest bardziej znacząca niż pieniądze – powiedział przewodniczący plemienia, Farrell Secakuku.

Czerwona strefa nie dla czerwonych ludzi

Ovide Mercredi, przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN) usiłował dotrzeć do przywódców śledmiu najbogatszych krajów świata (tzw. G7), którzy w czerwcu br. odbywali swe spotkanie w kanadyjskim mieście Halifax (Nowa Szkocja). Funkcjonariusze Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej zatrzymali go jeszcze przed frontowymi drzwiami, gdy zbliżył się na czele kilkudziesięciu osób, śpiewających i bijących w bębny, do strefy ogrodzonej czerwonymi wstążkami.

– Nie możesz tu wejść – powiedział krzywo patrzący policjant w czasie trzasku migawek aparatów fotograficznych zebranych licznie turystów.

– Czy to jest czerwona strefa dla takiego czerwonego człowieka, jak ja? – spytał Mercredi.

– Czerwona strefa wyznacza obszar ochronny dla G7 – odparł policjant. – Nie możesz przekroczyć tej linii.

– A dlaczego ci biali ludzie mogą przebywać za tą linią? – zapytał Mercredi, wskazując osoby, stojące kilka metrów przed nim, po czym zrobił parę kroków do przodu, ale znów drogę zastawił mu ten sam policjant, który ze stoickim spokojem wysłuchiwał wymówek, jakie czynił mu przywódca Indianiśki o niewielkim wzroście, odziany w kamizelkę z jeleniej skóry, obżytą frędzlami, i w pióropusz na głowie.



Ovide Mercredi, przewodniczący Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN).

– Mój przyjacielu, moi ludzie tego kraju żyją w ubóstwie – zwrócił się do oficera Ovide Mercredi. – Tych śledmiu przywódców ma zobowiązania wobec ludzi, których reprezentuję. Czy chronisz ich po to, żeby dalej trwała ta niesprawiedliwość?

Mercredi przybył na szczyt ślódemki, żeby przed światowymi środkami przekazu spróbować zawstydzić Ottawę położeniem ponad milionowej ludności tubylnych w Kanadzie.

Marszowi Indian, rozpoczętemu w centrum włoski położonej na peryferiach Halifaxu aż do centrum handlowego i turystycznego, towarzyszyli liczni dziennikarze i kamerzyści.

– Nawet jeśli sprawimy rządowi kłopot, nie można go porównać z bólem naszych ludzi, jak i znoszą z powodu jego polityki – powiedział Mercredi, prowadząc grupę obok pilnie strzeżonego hotelu, w którym zatrzymał się prezydent Stanów Zjednoczonych, Bill Clinton. – Nie można porównać dzisiejszej demonstracji z faktami, że wielu na-

szych młodych popełnia samobójstwa, że sporo ludzi żyje w ubóstwie, a przecież Kanada ma do spełnienia swoje traktatowe zobowiązania.

Franc Thomas, wojownik Micmaków z rezerwatu Shubenacadie w Nowej Szkocji, był pełen nadziei, że przywódcy G7 zechcą go wysłuchać.

– Może oni zechcą nas wysłuchać, czego nie chce uczynić rząd kanadyjski – powiedział Thomas, noszący podniesiony, wojskowy czerwony beret. – Powinni zobaczyć, co rząd kanadyjski robi z ludźmi Pierwszych Narodów.

Ovide Mercredi stwierdził ponadto, że prasa brytyjska i francuska chce, aby tubylcy wycofali swe roszczenia samorządowe, zagwarantowane mocą traktatów z XIX w.

– Jeśli Francja uzna niepodległość Quebecu – powiedział – to chcę wiedzieć, jaki jest jej stosunek wobec samorządności Pierwszych Narodów, żyjących w tej prowincji? Nie mogą tu przyjść i po prostu wprowadzić swój samorząd. A co z prawem naszych ludzi do samookreślenia, zagwarantowanego jeszcze w czasach kolonialnych? Nie było żadnych poprawek. My ciągle mamy prawo do samookreślenia.



Pieśniarki Indian Mi'kmaq, Catherine Martin i Donna Augustine na czele marszu przez dzielnice Halifaxu.

Powrót Szaunisów do Ohio po 163 latach

Sledmli przywódców plemennych z oklahomskiego White Oak i Shawnee odbyli w marcu br podróż do Ohio, gdzie spotkali się z władzami stanu, zwiedzili muzea i zbadali plany na przyszłość.

– Widać, że była to opieka dobrosąsiedzka – powiedziała 46-letni sekretarka plemienia, Cyntia Longhorn, podczas przejazdu grupy przez teren rolniczy hrabstwa Darke. – Być może tu wrócimy.

Różni Indianie wraz z „Grupą Zjednoczonych Szaunisów” byli w ostatnich latach częścią wydarzeń z obszaru Dayton. Jednak rząd federalny uznaje jedynie Szaunisów z Oklahomy.

W czerwcu 1994 roku trzy zachodnie grupy: *Absentee Shawnee*, *Loyal Shawnee* i *Eastern Shawnee* utworzyły Radę Połączonych Indian Szauni do reprezentowania interesów plemienia w takich przypadkach, jak miejsca pochówku czy dzieła sztuki.

– Rada reprezentuje pod dziesięć tysięcy Szaunisów – powiedział 43-letni Nick Smith z grupy Loyal.

Leroy Ellis, 44-letni przywódca Absentee dodał, że plemię chce wrócić, gdyż leży to w interesie nie-statutowych Indian, próbujących korzystać z prawa federalnego.

Było to około dwustu lat temu, kiedy generał Anthony Wayne i wodzowie 12 plemion podpisali traktat, w wyniku którego większość dzisiejszego Ohio przeszło w ręce białych osadników. Szaunis dostali w zamian tysiąc dolarów do podziału.

Będzie kasyno w Kanesatake?

Mohawkowie z Kanesatake zagłosowali na korzyść planu budowy kasyna na terenie swej wspólnoty, mimo że władze prowincji Quebec twierdzą, że nie wydadzą pozwolenia na jego otwarcie.

Członek rady, Garry Carbone, odpowiedzialny za sprawy socjalne i podatkowe w Kanesatake, poinformował wczoraj, że za przyjęciem planu opowiedziało się 62% głosujących. Odmówił jednak skomentowania tych wyników, jak również ujawnienia szczegółów dotyczących referendum.

Wzrasta liczba nisko-pułapowych lotów nad Labradorem

Rząd Kanady postanowił zwiększyć liczbę wojskowych lotów ćwiczebnych na niskim pułapie nad Labradorem, ignorując wezwania tubylców, obrońców środowiska i aktywistów pokojowych do ich całkowitego zaprzestania.

David Collenette, minister obrony powiedział, że Ottawa będzie rozmawiała ze swymi sojusznikami z NATO o zwiększenie ilości lotów do 18 tysięcy rocznie (obecnie 7 tysięcy).

– Z pewnością są one niezbędne, ponieważ narody takie jak Kanada nadal wierzą, że ich polityka obronna wymaga operacji lotów falowych i nisko-pułapowych trenin-gów, unikania wykrycia radarem – powiedział reporterom Collenette.

Piloci z Kanady, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Holandii i Włoch przebywający w bazie kanadyjskich sił zbrojnych nad zatoką Goose w Nowej Fundlandii wykorzystują obecnie ten obszar do ćwiczenia lotów, odbywających się na wysokości 30 metrów nad ziemią.

Collenette argumentuje, że działania takie „wpompowują” sto milionów dolarów rocznie w lokalną gospodarkę przez zatrudnienie setek osób, z których 1/3 to tubylcy i nie czynią szkody środowisku.

Decyzja zapadła po 8-letnich badaniach wpływu lotów na środowisko. Raport na ten temat ogłoszony został w marcu br.

Daniel Ashini, dyrektor Praw Indian Innu i Problemów Środowiskowych Narodów

Innu, wyrazili rozczarowanie z ogłoszonego dokumentu. Powiedział, że Indianie Innu nie zgadzają się z konkluzją, że loty nie mają wpływu na ludzi i środowisko.

– Naszym zdaniem, rząd federalny coś przekręcił w tej sprawie – powiedział.

Indianie Innu od dawna już twierdzą, że loty rozpędzają stada karibu i innych dzikich zwierząt, i ostatecznie zniszczą ich łowiecki i traperski styl życia.

– Jesteśmy ciężko obrażeni i rozczarowani – powiedział Stephen Dankowich, przedstawiciel Międzynarodowej Kampanii na rzecz Indian Innu i Ziemi.

Dodał też, że zwiększanie liczby lotów może zniszczyć ostatnią przystań środowiska Kanady oraz tubylczą kulturę. Stwierdził, że loty treningowe służą do przygotowywania ofensywy pierwszego uderzenia w przypadku wojny nuklearnej lub konwencjonalnej. Nasz kraj nie może brać w tym udziału.

Indianie Innu od wielu lat próbują nakłonić rząd do zaniechania tych lotów. Dlatego też obecne zwiększenie liczby lotów jest aktem krańcowej pogardy dla ludzi Innu.

Szkolnictwo Indian Tsimshian

Pierwsze Narody – Hartley Bay, Kitkatla i Lax Kwalaams podpisały porozumienie w sprawie wspólnego lokalnego edukacyjnego, który zapewni im kontrolę nad nauczaniem własnych dzieci. Porozumienie obejmuje również programy nauczania kultury i języka Tsimshian, a także podjęcie specjalnych działań, kładących nacisk na wyszukiwanie osób, które w przyszłości mogą zostać artystami, projektantami czy adwokatami.

Rzeźbiarz ożywia 8-metrowy pień

Słodki zapach dużego czerwonego cedru unosi się nad Długim Domem koło Królewskiego Muzeum Kolumbii Brytyjskiej w Victorii, gdzie artysta Indian Kwagwiltz,

Tony Hunt, zamienia 8-metrowy pień cedru w dar dla bliźniaczego miasta Morioka w Japonii.

Totem, który upamiętni ich dziesiętą rocznicę partnerstwa, przedstawiać będzie orla z rozpostartymi skrzydłami – symbol przyjaźni. Hunta, którego cztery dzieła stoją obecnie w Japońskim Muzeum Narodowym, łączy specjalne stosunki z Długim Domem Mungo Martin. To tutaj zdobył swoje umiejętności, ucząc się rzeźbiarstwa od swego dziadka i ojca.

Siuksowie opuszczają rezerwat

Siuksowie Mdewakanton z rezerwatu Prairie Island w stanie Minnesota szukają nowego kawałka ziemi, na który mogliby przenieść członków plemienia, którzy nie chcą już dłużej żyć koło składowiska śmieci z elektrowni nuklearnej, czyli 17 stalowych zbiorników, a na których składowanie zostało wydane zezwolenie stanowe.

Plemię planuje przejąć teren o powierzchni ponad 1000 ha, niedaleko Minneapolis-St. Paul, zwane Arden Hills, z którego zrezygnował rząd federalny jako składu amunicji dla wojska.

Z ziemi angielskiej

Potomkowie Long Wolfa odnaleźli w Lodynie zapomniany grób wojownika Siuksów Oglala, zmarłego w 1892 r. podczas występów w Londynie rewil z Dzikiego Zachodu Buffalo Billa. Chcą oni sprowadzić szczątki swego przodka na trawiaste równiny Południowej Dakoty, by jego duch mógł tam spocząć w spokoju. Rodzina Long Wolfa twierdzi, że walczył w bitwie nad Little Bighorn, w wieku 59 lat zmarł na zapalenie płuc, a jego miejsce pochówku zostało z czasem zapomniane. Siuksowie wierzą, że dusza zmarłego nie zazna spokoju, dopóki ciało nie spocznie w ojczywej ziemi.

Moda na Haida

Bogate artystyczne dziedzictwo i pragnienia zdobienia odzieży doprowadziło do powstania silozolli unikalnego stylu Indian Haida projektowanego przez Dorothy Grant.

Urodzona na Alasce projektantka używa silnie stylizowanych form tradycyjnej sztuki Indian Haida jako aplikacji na mankietach i klapach garniturów, przodach i tyłach żakietów, kamizelkach i koszulach. Krzywoliniowe symbole zwierząt przedstawiają kruką, orkę, motyla i orla.

Chociaż symbole te są kulturalną własnością klanu z Zachodniego Wybrzeża to Grant twierdzi, że „są to uniwersalne, subtelne formy artystyczne, mogące być noszone przez wszystkich”.

Uznanie dla artysty

Artysta Roy Henry Vickers z zamieszkującego Kolumbię Brytyjską ludu Tshimshian jest pierwszym i jedynym dotąd artystą, który został wybrany przez prestiżowy magazyn „MACLEAN” do sporządzanej co roku listy wybitnych twórców. Vickersa wyróżniono w ten sposób za życiowy dorobek i artystyczne zdolności, a także za pracę z 1994 roku zatytułowaną „Igrzyska Wspólnoty Brytyjskiej”. Pracę tę zaprezentowano m.in. królowej Elżbiecie II oraz prezydentom Clintonowi i Jelcynowi.

Najlepsza książka w Kanadzie

Za najlepszą tegoroczną książkę w Kanadzie, gazeta „Toronto Star” uznała napisaną przez Paulette Jiles książkę *North Spirit: Travels Among the Cree and Ojibway Nations and Their Star Maps* (Duch Północy: Podróże wśród Narodów Kri i Odźbuejów i ich gwiazdne mapy). Pochodząca z USA poetka i dziennikarka opisuje w niej lata



Symbol motyla na żakiecie zaprojektowanym przez Dorothy Grant.

1973-80, które spędziła wśród Anishnabe na północy Kanady, zakładając odźbuejskie radio, a następnie pracując w dwujęzycznej gazecie lokalnej. Z dużą dozą autokroniki Jiles opisuje swoje pierwsze kroki w nowym środowisku i rosnącą stopniowo fascynację starodawnymi legendami (np. O Dziewczętach, Które Poślubiły Gwiazdy). Autorka serdecznie wspomina też swoje kontakty z tubylczymi mieszkańcami polarnych osiedli, którzy przekonali ją, iż 18-godzinne zimowe noce mogą stać się pełne swolstego piękna i ciepła.

Na podstawie wycinków prasowych (z „The Eastern Door”, „The Gazette”, „The Nation”, „Transition”, „News from Indian Country”) nadesłanych przez Michaela T. Benwella (*Thanks Mike*), sekretarza Narodu Mohawków z Kahnawake, serwis informacyjny opracował Marek Cichomski oraz MN i MM.

Chciałbym mieć pióra orla...

Gdy go spotkałam po raz pierwszy, miał 16 lat, wysoką, szczupłą sylwetkę i długie czarne włosy. Szczególnie spодobały mi się jego białe, błyszczące buty do *joggingu*. Przez kilka następnych lat on i jego krewni towarzyszyli mi i mojej przyjaciółce podczas naszych letnich wędrówek po Arizonie. Jazda na rowerze, wędrówki po kanionach, *squaw dances* i ciągnące się do rana dyskusje. Zapytałam go kiedyś:

– Co chciałbyś robić po szkole?

– Pracować w biurze – odpowiedział, po czym wyłączył magnetofon, przerzucił go przez ramię, wskoczył na konia „Crazy” i odjechał.

Każdego lata ta sama sytuacja: śmiechy, kawały, łatwiutkie gry. Jego matka przebywała najczęściej w Gallup, niedaleko rezerwatu Nawahów, zaś dzieci mieszkali w hoganie, w rezerwacie. Podziwialiśmy, z jaką chęcią przewijał dzieci swojej siostry. Aszkoła?

– O wielkie nieba! Belfrzy są tak pospolici. Jednak uważają, że dobrze jest pracować w biurze. Pojadę do wielkiego miasta. Czy w Los Angeles jest halaśliwie?

Gdy zjawiliśmy się u niego, puszkę po piwie wstydliwie walały się pod łóżkiem.

– Pijesz czasem piwo? – zapytał mnie któregoś dnia.

– Tak, czemu nie? – odpowiedziałam. Zdziwił się. Zaczęła się ogólna rozmowa na temat alkoholu. On, podchmielony, stawał się coraz swobodniejszy. Nie potępialiśmy go jednak. Tego lata poznałam nie tylko prawdziwą przyjaźń Indian, ale też ich smutek i melancholię. Wobec nich byliśmy bezsilni... Nadużywanie alkoholu i fałszywe przekonanie, że białym trzeba przyznawać rację. Ale ludzie nie mogą być aż tak pijani i poniżeni, by nie zauważać, jak piękne słońce świeci akurat nad nami, że jest ono darem Stwórcy i że kiedyś była tu piękna ziemia, Kraj Indian.

Przy pożegnaniu zawsze był w swoich białych butach do *joggingu*, w nowych dżinsach i z magnetofonem, z którego rozbrzmiewała muzyka Michaela Jacksona i Christofera Crossa.

– Zobaczysz, w przyszłym roku będę już pracował w wielkim biurze. Muszę tylko poćwiczyć pisanie podań. Jakoś to będzie. Być może wtedy będę już lepiej pisał na maszynie. *See you later!*

Od tamtej pory nie było mnie tam trzy lata. Szybko minął ten czas. Pracowałam, wyszłam za mąż, urodziłam dziecko. W końcu znów pojechałam do rezerwatu na lato, pokazałam indiańskim znajomym swoją małą rodzinę. Warunki w rezerwacie poprawiły się. Gratulowano i odnoszono się do mnie z szacunkiem. Dręczyło mnie jednak pytanie: Gdzie jest On?

Siedział na wzgórzu, przed swoim hoganem. Zrezygnował ze szkoły, chociaż miał dopiero 23 lata. Stałam przed nim, miał podarte, niebieskie buty i tylko włosy szeroko opadające na ramiona nadal wyglądały wspaniale. Patrzył w dal, jakby szukał czegoś na horyzoncie.

– Wiesz – zaczął – często myślę o naszych letnich spotkaniach, przeżyliśmy wówczas wiele. Teraz chciałbym hodować owce, ale muszę się poradzić babci.

Ona zbierała akurat owce, rozproszone na wzgórzu, by przepędzić je na wypas do pobliskiego kanionu. Pomachała do nas chustą. Ta stara kobieta miała szeroką spódnicę i piękną, bogato zdobioną chustę na ramionach.

– Chyba za mało o niej myślę. Jest taka dobra – powiedział w zamyśleniu. Wstał i zorientowałam się, że kuleje. – Ach tak, potrafił mnie jakiś biały. W środku nocy poszedłem na szose. Wiesz, szedłem niezbyt prosto... On po prostu zepchnął mnie do rowu i pojechał dalej. Cztery miesiące byłem w szpitalu.

Wiedziłam o tym – jego babcia napisała o tym w jednym z wielu listów. On też chciał do mnie napisać, ale wstydził się, bo robił dużo błędów.

– Właściwie niczego dobrze nie umiem – powiedział. – Jedno tylko potrafię – myśleć. Obecnie bardzo dużo myślę.

Z dumą wskazał na ukrytą grządkę marihuany.

– Silna roślina, prawda? Czasem troszkę potrzebuję – mruknął pod nosem. – Chciałbym mieć pióra orla. Babcia ma takie duże, schowała je w piwnicy. I różne takie rzeczy potrzebne do obrzędów – zdradził ją. – Ona chodzi co niedzielę do kościoła, ale czasem zamyka się tajemniczo w piwnicy. Domyślamy się wszystkiego, ale nikt o tym z nią nie rozmawia.

W dniu kolejnego pożegnania podarował mi piękny, stary kilim. I, śmiejąc się, powiedział: – W tym kilimie jest bardzo dużo utkanych myśli.

Położyłam mu w ręce na ramionach: – Uważaj na siebie.

– Och, kiedy przyjedziesz następnym razem, będę miał owce. *See you later!*

Zbiegł ze wzgórza, oblańcowując swego psa.

Cieszyłam się na kolejne spotkanie, ale ono już nigdy nie nastąpi. 30 maja 1986 roku wczesnym rankiem znaleziono jego ciało, zakłute nożem, na granicy rezerwatu...

Eva Meidlhuber (RFN)

Z „Amedianu” 4/86 przełożył

Alojzy Kilanowski



Dziękuję za złot

„Byłam na zlocie. Po raz pierwszy. I wiem, że ten wybór był dobry. Nie wdziałam na początku, jak mam się zachować, ale ludzie, którzy byli na zlocie co roku, nauczyli mnie tego (z miejsca – dziękuję Mirce! Wspaniała kobieto!).

Indianami interesuję się od około dwóch lat, ale nigdy nie miałam dostępu do dobrej literatury i nigdy nie wiedziałam tyle, ile chciałam wiedzieć. Na zlocie dowiedziałam się wielu rzeczy, o których nie miałam pojęcia, zwłaszcza dzięki Satowi i Czejenowi. Jestem ogromnie szczęśliwa, że mogłam być na każdym z tych wspaniałych spotkań. Były niesamowite i nigdy bym nie pomyślała, że w ciągu dwóch tygodni mogę się tyle dowiedzieć! Dziękuję! I teraz wiem, że nie opuszczę żadnego zlotu (wiem, że będę się starać).

Magdalena Klisowska
Swinoujście

Pomylili imprezy

„Jestem świeżo po pobycie w Prostyni. Jestem pod głębokim wrażeniem atmosfery i rzeczy dziejących się na zlocie. Być może dla mnie jako nowicjusza ma to inny nieco wydźwięk, niemniej jednak, jest to wrażenie w pełni pozytywne. Szczególnie urzekł mnie stosunek „ludzi zaawansowanych” – że tak to nazwę – w pełni otwartych, życzliwych, udzielających mnóstwa informacji. Pewne wiadomości (historia Indian – ogólnie pojęta) nie były dla mnie nowe, ale udało mi się na wiele innych [tematów] uzyskać wyczerpujące odpowiedzi, i za to jestem głęboko wdzięczny.

Jedyną drobną przykrością była wizyta przypadkowych, młodych ludzi, którzy chyba przyjechali na inną imprezę, psując ogólnie krążący klimat – ale za to organizatorzy nie mogą ponosić żadnej odpowiedzialności, gdyż w takich warunkach (przyjazd dużej ilości nowych twarzy) nie sposób jest oddzielić „plewy od ziarna”.

Jeśli wszystko potoczy się dobrze chciałbym kontynuować swe spotkania z kulturą Indian, chcąc jeszcze bardziej zaangażować się czynnie w działania Polskich Indian. Kończąc moje rozważania na temat zlotu, chciałbym serdecznie podziękować za możliwość kontaktu i otwartość w stosunku do mnie jako człowieka chłonnego informacje, dotyczące szeroko pojętej kultury, życia Indian.

Mirosław Cieślak
Ustroń

Wielka rodzina

„Czy mógłbyś w moim imieniu podziękować Markowi Długoszowi za zaproszenie na tegoroczny zlot, jeżeli będziesz się z nim widział? Będę bardzo wdzięczna.

A co u mnie słychać? Moje początkowe zauroczenie kulturą Indianą przerodziło się w miłość. Myślę, że zawsze tkwiło to gdzieś we mnie i dopiero pod wpływem harcerstwa i zamilowania do ekologii, ujawniło się. Nie spowodował tego żaden film i tymczasowa moda na Indian, nie – to nie jest jakiś kaprys, który może zaraz minąć. Wiem, że to może głupio brzmieć, ale ja uważam, że byłam Indianinem w poprzednim wcieleniu – stąd mój stosunek do świata, Indian i Ziemi.

Teraz, gdy przypominam sobie, jak bardzo kiedyś zabiegałam o to, by zostać członkiem PSPI, chce mi się śmiać. Myślę, że to nie jest wcale ważne, czy jest się członkiem Stowarzyszenia, czy tylko sympatykiem. Ważne jest to, co wszyscy robimy. W pewnym sensie tworzymy jedną wielką rodzinę. Same członkostwo nic nie daje, trzeba na nie ciężko sobie zapracować i nie poprzestawać na jego zdobyciu. Trzeba najpierw bliżej poznać ludzi, zaprzyjaźnić się i zdobyć zaufanie, sprawić, by wiedzieli, że zawsze będą mogli na mnie polegać.

Dla mnie sam fakt otrzymania zaproszenia na zlot jest wielkim zaszczytem. Bardzo duże znaczenie również ma to, że mimo iż znam tylko parę osób ze Stowarzyszenia, wiem, że będę mogła na nich zawsze polegać.



Pierwszym moim zlotem był zeszłoroczny, XVIII. Przez cały czas oszołomiona byłam otwartością ludzi i ich życzliwością. Były to dla mnie niezapomniane chwile. Żałuję tylko, że poznałam bardzo mało ludzi, w tym roku chcę to nadrobić.

Monika Mrozowska, Elk

Od redakcji: Następny, jubileuszowy XX Zlot Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian odbędzie się w Chodzieży (woj. pilskie). Osoby chcące podzielić się uwagami z Grzegorzem Dziabasem, organizatorem przyszłego Zlotu, prosimy o korespondencję.

Namieszał Japończykom

„Właśnie otrzymałam pierwszy numer „Tawacinu” [nr 1(29) 1995 – red.], na początku tego weekendu. Lektura jest naprawdę wspaniała, dziękuję że istnieje. Chociaż o tym, że istnieje w Polsce Stowarzyszenie Przyjaciół Indian dowiedziałam się jakiś czas temu z Telewizji Poznań (dwa czy trzy lata temu była relacja z waszego spotkania w Wągrowcu) to dopiero teraz udało mi się nawiązać z wami kontakt.

Tak jak napisałam na początku listu, wszystkie teksty są wspaniałą lekturą. Czytając „Tawacin” tak naprawdę dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, jak znikome są moje wiadomości o Indianach. Swego czasu tą tematyką interesowała się również moja siostra bliźniaczka, ale teraz tylko ja pozostałam wierna naszym wspólnym zainteresowaniom. Niektóre teksty mnie śmieszyły, inne wzruszały, a jeszcze inne bulwersowały. Chodzi mi o tekst o Indianach na wielkich wojnach oraz to, że Amerykanie, potomkowie kolonizatorów oraz traperów, uznali Indian za wartych otrzymania obywatelstwa dopiero po tym, jak bardzo wielu z nich poległo, walcząc za sprawę, które właściwie były im obce. A swoją drogą Nawahowie nieźle namieszał Japończykom.

J.C., Łagów

Towarzystwo Przyjaciół Indian

„Piszę ten list w nadziei, że uda mi się zbliżyć do grona osób, którym tematyka Indianińska nie jest obca. Ostatnio czytałem książkę „Czarny Łos” i muszę przyznać, że wywarła na mnie duże wrażenie i przybliżyła duchowe postrzeganie świata przez Lakotów. Szkoda, że wciąż mało ukazuje się publikacji o Native Amerykanach w kraju.

Dużo słyszałem o działalności Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Indian, byłem zresztą na wystawie, która parę lat temu miała miejsce w Warszawie (tam nabyłem pierwszy numer „Tawacinu”). Niedawno natomiast uczestniczyłem w „Festiwalu filmów o tematyce Indianińskiej” w Muzeum Etnograficznym.

Chciałbym dowiedzieć się, jakie warunki trzeba spełnić by zostać członkiem Towarzystwa. Mam bowiem wielką ochotę dzielić się z ludźmi o podobnych zainteresowaniach wiedzą i wrażeniami. Marzyłem także zawsze o nawiązaniu bezpośredniej znajomości z rdzennymi Amerykanami. Czy byłoby to możliwe poprzez Towarzystwo?

Zbyszek Sepiół
Warszawa



„Akwasasne Notes” po polsku?

Po opublikowaniu w ostatnim „Tawacinie” recenzji nowego numeru „Akwasasne Notes”, otrzymałem kilka listów od czytelników, zainteresowanych prenumeratą tego kwartalnika po polsku. Musiałem to chyba napisać mało precyzyjnie, skoro zasugerowałem, że „Akwasasne Notes” ukazuje się w polskiej wersji językowej, gdy tymczasem chodziło mi tylko o zaskoczenie, jakie wywołały we mnie warunki prenumeraty wydrukowane w kilku językach, między innymi po polsku (fakt, że z wieloma błędami, ale po polsku). „Akwasasne Notes” ukazuje się wyłącznie po angielsku i na polską wersję językową nie ma co liczyć.

Marek Maciolek

POCAHONTAS

Kreskówka o sile ducha i miłości

Nie jest łatwo kręcić filmy w czasach, gdy nawet produkcje dla dzieci obserwowane są bacznie przez rozmaite grupy, wrażliwe na swój publiczny wizerunek i analizowane z każdej możliwej strony. Najnowszy przykład związany z Indianami? *Pocahontas* – piękny, momentami wzruszający, animowany musical, wyprodukowany przez Walt Disney Co. Film, przedstawiający kolejną wersję słynnego XVII-wiecznego spotkania księżniczki plemienia Powhatan i angielskiego kapitana Johna Smitha, miał w swoich założeniach przedstawiać także indiański punkt widzenia samych siebie. Miał ukazywać dzielnych mężczyzn i dumne kobiety, opiekunów ziemi, dobrych czarodziei. Ich konflikt z białymi ludźmi miał być konfliktem ekologicznych bohaterów idyllicznej krainy z chciwymi najeźdźcami.

Ale wielu historyków i samych tubylczych Amerykanów nie zgadza się z najnowszą wersją starej legendy. Historyczna Pocahontas była 11-letnim dziewczęciem, a nie dojrzłą kobietą, gdy spotkała Johna Smitha – i nigdy nie miała z nim romansu.

– Wolalabym, żeby imię Pocahontas zniknęło z czołówki filmu – powiedziała w wywiadzie Shirley Little Dove Custalow McGowan, gawędziarka z plemienia Powhatan i – przez pewien czas – konsultantka twórców filmu. Z drugiej strony, Russell Means, znany indiański działacz społeczny i aktor, który udzielił swego głosu filmowemu wodzowi Powhatanowi, uznał, że jest to „najlepszy film o doświadczeniach tubylczych Amerykanów zrobiony kiedykolwiek w Hollywood”.

Być może oboje mają po części rację, bo choć filmowi Indianie rzeczywiście mogą się podobać i uchodzić za wzór do naśladowania, to prawdziwa Pocahontas pra-

wdopodobnie nie przypominała Tiny Turner, nie śpiewała broadwayowskich ballad Alana Menkena i nie szczepiała z kolibrami. John Smith też nie miał w sobie nic z Supermana, ale to przecież tylko film, i to w dodatku rysunkowy. Nie można wszak wymagać dokumentalnej wierności od romantycznej historyjki, jakich wiele w stuletniej historii kina.

W rzeczywistości *Pocahontas*, sprawnie wyreżyserowany przez duet Mike Gabriel i Eric Goldberg, to film polityczny w innym, ogólniejszym sensie. Przeciwwstawiając dzielną, lecz idealistyczną indiańską księżniczkę gubernatorowi Ratcliffe'owi, szefowi wyprawy, która w 1607 roku założyła w Jamestown pierwsze stałe osiedle w Ameryce, bierze on w obronę słabych i pokrzywdzonych. Ujmuje się za ciężko pracującymi żeglarzami walczącymi z brytyjską arystokracją, za tubylcami broniącymi przyrodę przed zachłannością białych, za kobiecym duchem pojednania ścierającym się z wojowniczą męskością. *Pocahontas* nieoczekiwanie ośmiesza nawet plany Walt Disney Co., planującej zakup ziemi w Wirginii i budowę historycznego Parku Jamestown. Tyle, że tak rozumiane, każde dzieło sztuki popularnej – nawet kreskówka dla dzieci – jest w swej naturze polityczne.

Film *Pocahontas* nie musi być, na szczęście, oglądany wyłącznie jako film „o Indianach”. Może też być przypowieścią o sile ducha i westchnieniem nad utraconym u kresu wieku niewinności. Ona – Pocahontas (z głosem Irene Bedard) i On – John Smith (głos Mela Gibsona) są wówczas postaciami z innego, delikatniejszego świata, w którym warto walczyć o miłość. □

OD SQUAW DO DZIKUSA

Kłopoty z Pocahontas

Naprawdę nie chciałem tego pisać. No, ale skoro media narobiły tyle szumu wokół animowanego filmu *Pocahontas* – a także będąc indiańskim publicystą – czuję, że muszę dorzucić swoje trzy grosze.

Magazyn „People” wykazał się szczególną dozą głupoty, zamieszczając zdjęcie Pocahontas opatrzone takim oto podpisem: „Pocahontas, *squaw* która umie zrobić drinka; bohaterka, która wie, że ścieżki natury i sztuka przewidywania się paskiem współgrają ze sobą”.

Nie ma w tym kraju Indianki, która by natychmiast nie wzdrygnęła się na słowo *squaw*. Jest to dosłowne tłumaczenie algonkińskiego słowa, odnoszącego się do intymnych części ciała kobiety. W miarę jak osadnicy (głównie mężczyźni) przemieszczali się na zachód, nieśli to słowo ze sobą i nazywali nim wszystkie indiańskie kobiety, zaliczając je – ni mniej ni więcej – do kurew.

Mamy jeszcze takie miejsca jak Dolina Squaw (Squaw Valley) w Kalifornii i Czubek Squaw (Squaw Peak) w Phoenix. Pierwotna nazwa tej góry brzmiała – proszę wybaczyć moje grubiaństwo – Czubek Cycka Squaw (Squaw Tit Peak). Widocznie niektórzy chrześcijanie byli wysoce oburzeni słowem „cycek”, bo usunęło je z map. Czy to nie dziwne, że zostawili to drugie, wyraźnie seksualne słowo?

Burger King postanowił nadać sadze o Pocahontas charakter komercyjny, niechybnie prowadzący do konkluzji: „Po obejrzeniu *Pocahontas*, wszystkie dzieciaki będą chciały być Johnem Smithem”.

Johnem Smithem? Czy właśnie jego mieli na myśli specje od reklamy, pracujący dla Burgera Kinga? Czy żadna dziewczynka nie zechce być Pocahontas?

Pewna Indianka w wywiadzie dla lokalnej telewizji powiedziała (I jestem pewien, że z jej prostym wnioskiem zgodzi się większość białych i Murzynów): „To tylko film z komiksowymi postaciami, a nie żaden dokument”.

To chyba tłumaczy historyczne nieścisłości i hollywoodzką manierę w przedstawianiu prawdziwych wydarzeń. Mały Czarny Sambo też był tylko postacią z komiksu, ale dla większości Amerykanów afrykańskiego pochodzenia był obrzydliwą postacią z komiksu. Kiedy ostatni raz widzieliście tę odpychającą postać w telewizji albo kinie?*

Tworzenie komiksowej postaci, opartej na prawdziwym człowieku, przedstawicieli mniejszości, nie usprawiedliwia historycznych dowolności, poczynionych przez ludzi Disneya. Czy to w porządku, że dzieci otrzymują taką koślawą wersję historii?

Dla wielu indiańskich kobiet komiksowa postać Pocahontas w ogóle nie jest Indianką. Jej wizerunek został skreślony na wzór białej seksbomby. Najbardziej wyzywający był jej ubiór, który niezbyt odpowiadał temu, co nosiły wówczas Indianki.

– Wodził za nią [Johnem Smithem] oczywiście – stwierdziła pewna Latynoska – czyha na niego i w gruncie rzeczy go napastuje. Łasił się do niego jak seks-kocią. Czego więc dowiadują się widzowie o indiańskich kobietach?

Dowiadują się oto, że Indianki to – tak, tak – to *squaws*.

* Autor sugeruje w tym miejscu, że amerykańska *political correctness* nie pozwala już przedstawiać Murzynów w sposób rasistowski i przesłaniewicz w filmie czy telewizji. Ta sama uwaga odnosi się do muzyki, o czym mowa nieco później. Widocznie nie obejmuje to jeszcze tubylczych Amerykanów, mimo wszystkich pozytywnych zmian, jakie nastąpiły w nastawieniu do Indian – przyp. MM.

Muzyczny temat przewodni nieustannie traktuje Indian jako dzikusów. „Dzikus” to przezwisko, z którym Indianie muszą żyć od tego dnia, kiedy napisano o nich pierwszą książkę.

Czy jakikolwiek film, nakręcony współcześnie, ma główny temat muzyczny sugerujący, jakoby Amerykanie afrykańskiego pochodzenia byli „czarnuchami”?

Słowo „dzikus” (*savage*) ma podobny wydźwięk dla amerykańskich Indian.

Większość osób, z którymi rozmawiałem po wyjściu z kina w Rapid City (Południowa Dakota), odwracało się z niesmakiem.

Nie jestem, rzecz jasna, krytykiem filmowym, ale indyjskim publicystą, który nie cierpi oglądania Indian oczernianych w komiksach i niezdarnych historyjkach ekipy Disneya.

Powinienem właściwie zniknąć w ciemności, gdy grupa „Virginia Company” zaśpiewała: „Zabiję własnoręcznie Indianina, może dwóch albo trzech”. Gdyby zmienić słowa na „Zaraz zabiję własnoręcznie białego, może dwóch albo trzech”, w mass mediach natychmiast zrobiłby się smród.

Co za wspaniała lekcja dla bachorów! □

Tim Giago

Felieton z „The Gazette” (Montreal) przetłumaczył Marek Maciolek. Film „Pocahontas” ma pojawić się na naszych ekranach w listopadzie br.

Tim Giago jest redaktorem naczelnym i wydawcą „Indian Country Today”, tygodnika poświęconego sprawom indiańskim.

larnego o takim samym tytule. Rolę chłopca zagrał Hal Scardino, zaś 7,5 cm Indianina – debiutujący na ekranie Litefoot (aby uzyskać efekt zmniejszenia aktora do tej wysokości, zastosowano różne efekty specjalne, m.in. kręcenie każdej sceny osobno dla Omri’ego, a następnie dla Niedźwiadka). Choć film adresowany jest głównie do dzieci, przyciąga jednak widownię we wszystkich grupach wiekowych.

Omri poznaje wartość zaufania i dyskrecji, gdy strzeże swego sekretu przed tymi, którzy mogliby mu pomóc to zrozumieć, a opowiada wszystko koledze, którego za zdradę może ścigać wyłącznie kłopoty.

Reżyser Frank Oz i scenarzystka Melissa Mathison oparli się pokusie ożywienia zbyt wielu przedmiotów i ograniczyli się do kilku zaledwie zabawek, na przykład figurki kowboja, który zagrał z Litefootem w scenach, mających zilustrować pułapki nietolerancji. Scenariusz zbyt nachalnie obwinia hollywoodzkie stereotypy za antagonizmy istniejące w prawdziwym świecie, mimo to film niesie silne przesłanie moralne, bez popadania w kaznodziejski ton. □

Na podstawie artykułu z „The Gazette” (Montreal), nadesłanych przez Michaela T. Benwella (*Thanks, Mike*) opracował Marek Maciolek.

Zwierzienia Cienia

21. Kiedy wymyślałem swoje pierwsze „Zwierzienia...”, szukałem sposobu na przedstawianie w krótkiej, felietonowej formie własnych uwag, przemyśleń i opinii – niekoniecznie zgodnych z opinią Redakcji – na tzw. indiańskie tematy. Chciałem mieć możliwość skomentowania tego, co dzieje się we mnie i wokół mnie, a co wiąże się z życiem Indian i Indianistów, z naszymi imprezami, publikacjami i wzajemnymi stosunkami. Jak dotąd, nie zawsze udaje mi się pisać krótko i na temat. Ale tak bywa zawsze, gdy ma się sporo chęci i pomysłów, mniej zaś – wiedzy i umiejętności pisarskich. Pierwsze – zróżnicowane – reakcje na tę stronę „Tawacinu” już nadchodzą, co oznacza, że warto bym próbował zwierzać się dalej. Tym razem powinno być głównie o zlocie w Prostyni – najważniejszym niewątpliwie i dla mnie, i dla większości z Was wydarzeniu minionego lata. Ponieważ jednak moje zlotowe „trzy grosze” napisałem już w innym miejscu, tutaj pozwolę sobie przytoczyć kilka innych, zasłyszanych i przeczytanych, opinii.

22. Indianie i Indianiści – to temat wdzięczny i bezpieczny zarazem. Paclorki, mokasy, błodrowa przepaska, włóki na szyi, pomalowana twarz, pióra we włosach – i typowy opis „polskiego Indianina” gotowy. „Stożkowate wlgwamy”, „śplewy i skoki” przy ognisku i nocne „tłuczenie w bębny” równie malowniczo prezentują się w telewizji, co na zdjęciach w kolorowych magazynach. Tam z miłą znawcy można palnąć każdą, największą nawet, głupotę, a w razie oczywistej wpadki – puścić oko do zdziwionego widza lub czytelnika – „nie wymagajcie za wiele – mamy sezon ogórkowy”. Można nieżyły reportaż skomentować tak, jak egzaltowana dziennikarka z telewizyjnych „Swojskich Klimatów”, która zapanięta tylko „poważną książką o Winnietou” i „urodzinych mężczyzn z indiańskich obozów”. Albo napisać (cytować?) beztrudno, że „prawdziwa wolność oznacza

strzelanie z łuku, śledzenie w tpi i moczenie się w jeziorze”. Zresztą, czy muszę to przypominać – chyba każdy z nas trafił na podobne „perełki”.

23. Ale można też, jak bohaterowie reportażu z tych samych „Swojskich Klimatów”, mówić pięknie i mądrze o „czerpaniu z indiańskich tradycji, które pomagają w organizowaniu obozu” i naszym codziennym życiu. Czy o „reaktywowaniu Rady Złotu, która doskonale załatwia sprawy programowe, konfliktowe i porządkowe”. Można, uczestnicząc w zlotach od wielu lat, zwrócić uwagę na „stopniowe zawężanie naszych, ogólnych początkowo, indiańskich zainteresowań”. I wyjaśnić zaraz, że „po kilkunastu latach wyjazdów, korespondencji i kopania w źródłach nie jesteśmy po prostu w stanie interesować się wszystkim i objąć ogromu dostępnych materiałów”. Można wreszcie – jak w artykule „Moja Błada Twarz” z „Gazety Poznańskiej” – zwrócić uwagę na to, że różne elementy indiańskiego i zlotowego życia – takie jak taniec, czy szalas potu – „dla jednych mogą być tylko formą rozrywki, dla innych zaś modlitwą, wyrazem radości czy smutku”. To także słowa o nas. Tyle, że nasze własne – lub ludzi, którzy umiemy słuchać i obserwować. I takich z roku na rok jest, na szczęście, jakby nieco więcej. A może wszyscy razem, i każdy z nas z osobna, zapracowujemy na to swoją „indiańską” działalnością i postawą?

24. Przyjeżdżamy na zloty w poszukiwaniu okrucich indiańskiego świata. Jedni po wiedzę i doświadczenie, inni – dla egzotyki, przygody, relaksu. Zapewne i po to także, by wśród przyjaciół w kręgu tpi poczuć się „znowu normalnie i nareszcie u siebie”. A potem „łatwiej jest wszystko znieść, kiedy wiem, że za rok będzie następny Zlot i znów będą ci sami kochani ludzie, znów gorąca herbata z ogniska z popiołem, płasek w zębach razem z chlebem, komary, woda, dym z ogniska i... szalwia.” A nasza indiańska mądrość podpowiada nam, że „pożegnanie i rozstanie to warunek kolejnego spotkania”. Do następnego razu więc – i oby jak najszybciej! □



Indianin z szuflady

Kto z czytelników „Tawacinu” pamięta, dostępne głównie w kioskach Ruchu tzw. żołnierzyki? Były to plastikowe, pomalowane olejną farbą, figurki indiańskich wodzów, kowboi i przedstawicieli ludowego wojska, ukazanych w różnych pozycjach, ale zawsze z odpowiednim orężem. Trafiły się także plastikowe tpi, ogniska z rusztem, bżony, czołgi i samoloty. Przy braku puzzli, klocków Lego, lalek Barbie, transformersów, komputerowych gier i okropnych kreskówek z Ameryki, jakich pełno dziś w telewizji, żołnierzyki były ulubionym hobby i doskonałą zabawą. W dziecięcej wyobraźni figurki te ożywały i brały udział w niesamowitych przygodach.

Po ten pomysł sięgnęła angielska pisarka Lynne Reid Banks w zbiorze opowiadań pod wspólnym tytułem „Indianin z szuflady” (nie ma się co śmiać, taki Plastuś, na przykład, mieszkał w piórniku). Dziewięcioletni chłopiec o imieniu Omri dostaje na urodziny pudełko zabawek. Jedną z nich był plastikowy, indiański wojownik. Pewnej nocy, z niedomkniętej szuflady, Indianin o imieniu Niedźwiadek wystawił głowę i...

Opowiadania Lynne Reid Banks posłużyły za podstawę scenariusza filmu fabu-

„TAWACIN” PROPONUJE:

LITERATURA PIĘKNA

Tylko ziemia przetrwa... Mała antologia dawnej i współczesnej literatury Indian Ameryki Północnej. SOK Sztum 1992, str.140, cena 4 zł. Tradycyjne legendy i opowieści, pieśni, sztuka krasomówcza, wspomnienia i poezja.

Longin Jan Okoń: *Płonąca preria*. Wyd. Lubelskie. Lublin 1989, stron 280, cena 2 zł 50 gr. Historyczno-przygodowa powieść o wojnie wodza Sauków, Czarnego Jastrzębia z lat 1820-1832.

HISTORIA

Historia wojen Indian Ameryki Północnej. Wyd. „Akcydens”, Poznań 1995, stron 208, cena 32 zł.

Książka przedstawia wydarzenia z lat 1607–1890. Opowiada o heroicznej walce Indian z białymi kolonizatorami. Opisy bitew i potyczek wzbogacone zostały szeregiem ilustracji – oryginalnymi zdjęciami oraz reprodukcjami obrazów (papier kredowy, format A4). Ponadto szereg map, poczet wodzów oraz chronologia wydarzeń.

Koralikowe „zrób to sam”

Książeczka zawiera szereg informacji o różnych technikach zdobienia koralikami, omawia podstawowe przybory, takie jak koraliki, igły, nici i krosna. Autor w bardzo praktyczny sposób przedstawia metody wyszywania i tkania koralikami, objaśnia jak wykonać rozetkę, pasek czy tańczuszek. Wprowadza nowość: papier koralikowy do rysowania wzorów. Opowiada o „Koralikowym Duchu” i co to jest „Motyl Oglalów”, a także „ścieg pejotłowy” i „stokrotka”. Wszystko dokładnie i bogato ilustrowane. Drugą połowę książeczki wypełniają wzory z różnych kultur i regionów Ameryki Północnej.

Jedyne takie opracowanie po polsku!

Wiesław K. Niedźwiadek: *Indiańskie techniki zdobienia koralikami*. Biblioteka „Tawacinu” nr 23. Wyd. TIPI. Wielichowo 1992, cena 2 zł 50 gr.

Maciej Zimiński: *Legenda w indiańskim pióropuszu*. Wyd. Spółdzielcze. Warszawa 1991, stron 150, cena 2 zł 90 gr.

Autor przedstawia sylwetki kilku sławnych postaci (Joseph Brant, Sitting Bull, Tecumseh, Sekwoja, Geronimo, a także Sał Okh i Karol May), podając wiele ciekawych faktów i ukazując jednocześnie jak ci ludzie wpływali na tworzenie się legendy o zdobywaniu Ameryki. Sporo fotografii, także kolorowych.

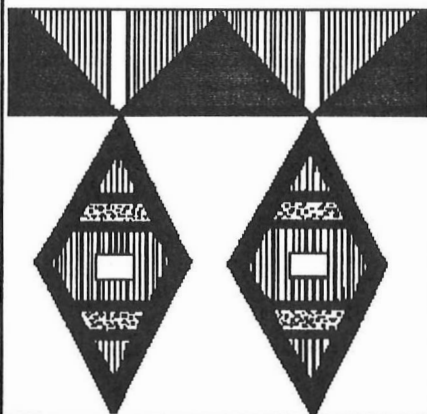
Ameryka Indiańska. Spotkanie dwóch światów. (Katalog wystawy) Poznań 1992, stron 198, cena 6 zł 90 gr.

Katalog poznańskiej wystawy z okazji 500-lecia o takim samym tytule, zawierający ponadto okolicznościowe artykuły o tubylcach obu Ameryk. Pięknie wydany na papierze kredowym i bogato ilustrowany.

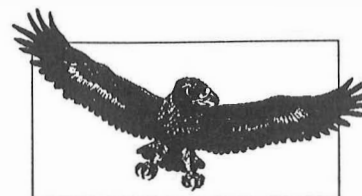
„W DRODZE” nr 11 z 1992, cena 2 zł 50 gr. Miesięcznik oo. dominikanów poświęcony rocznicy 500-lecia ewangelizacji Ameryki. M.in. cenny wstęp Romana Bąka o misjach katolickich wśród Indian, oryginalne kalendarium europejskich odkryć, dyskusyjny tekst ks. Mariana Banaszaka, artykuł Marka Maciołka *Wierzyć i tańczyć* oraz fragmenty biografii wizjonera Lakotów *Czarny Łoś*.

Wiesław K. Niedźwiadek

Indiańskie techniki zdobienia koralikami



WIETRZNY ORZEŁ I INNE OPOWIEŚCI ABENAKÓW



JOSEPH BRUCHAC

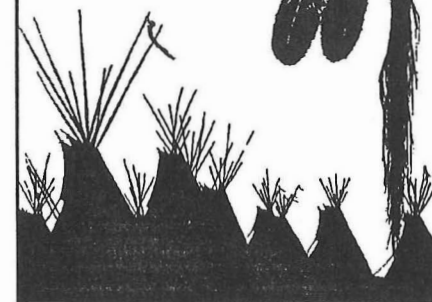
Wietrzny Orzeł to zbiór przepięknych opowieści Abenaków, nawiązujących do tradycji gawędziarstwa. Indiańskie opowieści, opowiedane przeważnie jesienią i zimą, bawiły słuchaczy, a jednocześnie uczyły i przypominały o podstawowej mądrości życia w harmonii z naturą. Perypetie Gluskabiego, mitycznej postaci w kulturze Abenaków, odwołują się do naszej wyobraźni i ilustrują związki człowieka z otaczającym światem; i choć nie mamy takich zdolności jak Gluskabi, możemy jednak swoimi poczynaniami albo umacniać życie na ziemi, albo je niszczyć.

Opowieści Josepha Bruchaca są mądre i praktyczne, prawdziwie ekologiczne i przyjazne człowiekowi.

Joseph Bruchac – urodził się w 1942 roku w Miesiącu Spadających Liści w Saratoga Springs. Jest poetą, gawędziarzem i wydawcą z ludu Abenaków. Przedmowę w książce „Ta sama ziemia pod stopami” napisał specjalnie do polskiego wydania.

Joseph Bruchac: *Wietrzny Orzeł i inne opowieści Abenaków*. Biblioteka „Tawacinu” nr 24. TIPI, Wielichowo 1995, stron 64, cena 3 zł 90 gr.

CZARNY ŁOŚ OPOWIEŚĆ INDIAŃSKIEGO SZAMANA



O sprawcie, by żył mój lud!

Pewien starzec stojący na górze Harneya wznosił ramiona do pustego nieba i wypowiadał te dramatyczne słowa.

Nazywał się Czarny Łoś, był wojownikiem i świętym człowiekiem Siuksów Oglala. Brał udział w największych wydarzeniach w historii swego ludu: jako trzynastoletni chłopiec oglądał słynną bitwę z kawalerią gen. Custer'a nad rzeką Little Bighorn, a w 1890 roku uczestniczył w ostatniej masakrze Siuksów nad strumieniem Wounded Knee.

W tej książce opowiada o wielkiej wizji, jakiej nie doświadczył żaden inny człowiek. Dzięki niej miał przetrwać naród Siuksów.

Czarny Łoś to opowieść o doświadczeniu duchowych wartości, przed jakimi staje człowiek przy wyborze swej drogi życia. Czarny Łoś zauważa, że każdy krok w poznaniu siebie i świata wiąże się nieuchronnie z samozaparciem i samopoświęceniem.

CZARNY ŁOŚ – Opowieść indiańskiego szamana. Ozieje świętego człowieka Siuksów Oglala opowiedziane po przez Johna G. Neihartha (Piomienną Tęczę). ZYSKIS-ka Wydawnictwo. Poznań 1994, stron 220, cena 12 zł.

Maria Paradowska: *Wśród Indian i Metysów*. Ossolineum. Wrocław 1989, stron 206, cena 2 zł 90 gr.

Antologia relacji polskich podróżników o tubylczych mieszkańcach Meksyku i Ameryki Środkowej. Barwne opisy życia codziennego, kultury i zwyczajów Indian, Metysów i Mulałów stanowią cenny materiał źródłowy dla osób zajmujących się etnografią i historią Ameryki.

Auguste Ginnard: *Trzy lata w niewoli u Patagonów*. Wyd. Literackie. Kraków 1988, stron 70, cena 1 zł 60 gr.

Relacja z trzyletniego (1856-1859) pobytu w niewoli u Indian Patagonii, w której autor – kreśląc koleje swego losu – zawarł również ciekawe dane dotyczące zwyczajów, obyczajów i wierzeń tubylczych ludów Pampy i Patagonii.

Jean Raspail: *Któż pamięta Ludzi z Ziemi Ognistej*. PIW. Warszawa 1990, stron 212, cena 2 zł 90 gr.

Lud, który jest zbiorowym bohaterem tej książki nosił różne imiona, sam siebie określał jako Kaweskarowie, co znaczy po prostu – Ludzie. Przyszli oni na Ziemię Ognistą z bardzo daleka. Szli przez kontynenty i stulecia zatracając pamięć swoich korzeni. W akcję książki wpleciona jest historyczna wyprawa Magellana potraktowana jako element fikcji literackiej. Przeszłość historyczna i mityczna teraźniejszość i przyszłość stapiają się w jedno.

Franz Braumann: *Wśród Indian Guarani. Antonius Sepp von Rainegg 1655-1733*. Wyd. VERBINUM. Warszawa 1989, stron 112, cena 2 zł.

Biograficzna książeczka o misjonarzu słynnych jezuitów „redukcji” w Paragwaju. Sporo informacji o relacji: Indianie i chrześcijaństwo.

SZAMANIZM

Jim Berenholtz: *Podróż w cztery strony*. Mistyczna opowieść o podróży w starożytne tajemnice obu Ameryk. LIMBUS. Bydgoszcz 1994, stron 360, cena 9 zł 50 gr.

Wizjoner, muzyk obrzędowy i podróżnik, Jim Berenholtz (znany w Polsce ze swej muzyki) dzieli się swym mistycznym przebudzeniem i niezwykłą wiedzą. Uczyniając w marszach pokojowych wschodu jako propagator praw ludów tubylczych, podróżuje dalej na

północ do Indian Lakota, na zachód do plemion Hopi i na południe do Ameryki Środkowej, gdzie otrzymuje nauki inicjacyjne od nauczycieli Majów i Azteków.

Nevill Drury: *Szamanizm*. Wyd. Rebis. Poznań 1994, stron 160, cena 4 zł 90 gr.

Czym jest, gdzie powstał, jak się rozprzestrzenił i jakie przechodził ewolucje. Indianie *medicine men*: Czarny Łoś, Brooke Leczący Orzeł, Słoneczny Niedźwiedź. Castaneda i Andrews – szamani czy szarlatani?

POCZTÓWKI SŁYNNYCH INDIAN

- Nr 8 **Low Dog** (Oglala)
- Nr 11 **Chief Joseph** (Nez Perce)
- Nr 15 **Lone Wolf** (Kiowa)
- Nr 16 **Kicking Bird** (Kiowa)
- Nr 21 **Wolf Robe** (Cheyenne)
- Nr 26 **Quanah** (Comanche)
- Nr 29 **Rain in the Face** (Hunkpapa)
- Nr 36 **Sitting Bull** (Hunkpapa)

Cena 1 szt. (tylko jednej) – 70 gr Od 2 szt. – 50 gr
Komplet 8 szt. (po jednej z każdego rodzaju) kosztuje 8 x 40 gr = 3 zł 20 gr. Przy zakupie 5 i więcej szt. tego samego rodzaju – 30 gr.

„TAWACIN” Z LAT UBIEGŁYCH

Dostępne są jeszcze następujące numery:

- 1992 nr 19 i 20 po 1,20 szt.
- 1993 nr 21 i 24 po 1,50 szt.
- 1994 nr 25, 26, 27 i 28 po 1,90 szt.



Pokrywamy koszty przesyłki pocztowej. Prosimy o przedpłatę przekazem lub na konto:

TIPI, Marek Maciołek
ul. Łąkowa 3
64-050 Wielichowo
GBW-BS w Wielichowie
Rk 963549-56531-2706-2

Ze względu na termin dostarczania wpłat przez bank, realizacja zamówień może trwać do 3-4 tygodni. Aby to przyspieszyć można przestać zamawianie listem dołączając kopię przekazu.

Z OSTATNIEJ CHWILI

Polskie opisanie świata

9 września br. otwarta została w Muzeum Etnograficznym we Wrocławiu wystawa z okazji stulecia Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (PTL) pod tytułem „Polskie opisanie świata”, prezentująca dorobek najwybitniejszych polskich badaczy kultur pozaeuropejskich (m.in. B. Malinowskiego, J. Czekanowskiego, I. Domeyki i innych) w postaci efektów ich działalności, czyli zbiorów muzealnych i publikacji. Wystawa potrwa do czerwca 1996 roku.

W dwóch salach przeznaczonych na Amerykę Północną i Południową (komisarzy tego działu jest Janusz Jaskulski z Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu, oddział Muzeum Narodowego), zgromadzono sporo interesujących obiektów, a także trudno dostępnych dziś pierwodruków najważniejszych dzieł naukowych naszych badaczy, które na przełomie XIX i XX wieku przyczyniły się do powstania polskiej szkoły badań kultur pozaeuropejskich.

Szczegółowo o wystawie napiszemy w następnym numerze Tawacinu.

MM

WARUNKI PRENUMERATY

TAWACIN ukazuje się cztery razy w roku. Cena jednego numeru w prenumeracie wynosi razem z wysyłką 2 zł 50 gr. Prenumerata roczna wynosi 10 zł. Oferujemy możliwość obniżenia ceny prenumeraty przez wysyłkę pod jeden wspólny adres co najmniej 2 egzemplarzy TAWACINU. Udzielone bonifikaty powodują wówczas obniżenie ceny do:

ilość egzemplarzy	cena 1 egz. w złotych	cena prenumeraty 1 egz. w 1995 r.
1	2,50	10,00
2-4	2,35	9,40
5-9	2,20	8,80
od 10	2,00	8,00

Wpłaty należy kierować na konto:

MAREK MACIOŁEK, TIPI
UL. ŁĄKOWA 3
64-050 WIELICHOWO
GBW-BS w Wielichowie
RK NR 963549-56531-2706-2

Prosimy dokładnie i czytelnie podawać swój adres na przekazie oraz czego dotyczy wpłata.. Przy zmianie adresu prosimy o informację.

NIE PRZESYŁAĆ PIENIĘDZY W LISTACH!

